Sternik

dwutygodnik dla młodych

Warszawa

ROK II Nr. 2 25-go STYCZNIA 1930 R. CENA 50 GROSZY.

W ROCZNICĘ 22 STYCZNIA 1863 ROKU

ROK 63-CI STOI NA PRZEŁOMIE NASZYCH DZIEJÓW, STARA POLSKA UMIERA — NOWA SIĘ RODZI. NA PRZEŁOMIE DZIEJÓW STAJE EPOKOWE ZDARZENIE — POWSTANIE NASZEGO NARODU, WALKA ORĘŻNA, DŁUGO TRWAJĄCA, DŁUGO ZALEWAJĄCA KRWIĄ I POŻOGĄ ZIEMIĘ NASZĄ. NA PROGU NOWOCZESNEGO ŻYCIA SPOŁECZNEGO STOJĄ WYDARZENIA 63-GO ROKU.

MARSZAŁEK JÓZEF PIŁSUDSKI. ROK 1863.

DZIEŃ 1 LUTEGO

„Gdy chodziło o obronę granic przed fizyczną przemocą wrogów, to pomimo bardzo złego stanu naszych finansów, musiały się na stworzenie i utrzymanie armji znaleźć pieniądze, bo zrozumienie potrzeby takich nadzwyczajnych wysiłków finansowych isłniało w społeczeństwie. Chodzi jeszcze o stworzenie analogicznego uświadomienia, że i z innej strony grozi nam również wielkie niebezpieczeństwo stracenia niezależności, że zatem należy i w tym innym kierunku zdobyć się na nadzwyczajne wysiłki, a to w celu szybkiego stworzenia wielkich wytwórni. Równolegle z tem musi iść tworzenie armji gruntownie wykształconych zawodowo pracowników.“

(z przemówienia p. Prezydenta Rzplitej)

Te słowa należy sobie przypomnieć w dniu 1 lutego, kiedy to — z racji Imienin Pierwszego Obywatela Państwa — ślemy Mu wszyscy najserdeczniejsze życzenia i zamyślamy się dłużej nad jego wszechstronnemi dążeniami i niezwykle prawowitym, twórczym biegiem życia.

W wyobraźni nam oto stają wieloletnie trudy na obczyźnie w Londynie i Fryburgu nad „problemem azotowym“, budowa fabryk w Chippis i w Neuhausen, prace dla „Sociètè Gènèrale des Condensateurs“ we Fryburgu, budowa pierwszej w Polsce (a nawet na świecie!) fabryki związków cjanowych, podług metod elektrotermicznych w Jaworznie. Dochodzi do nas echo lat obróconych na wyszkolenie młodych ludzi, studentów Politechniki Lwowskiej, w kierunku twórczej pracy technologicznej, i dalszych spędzonych w Chorzowie, gdzie praca, zorganizowana w ciągu — dosłownie — dni kilku, szła z rozmachem nadzwyczajnym. Chorzów, przedsiębiorstwo deficytowe w rękach obcych — w 1924 r. daje po raz pierwszy dochód, uwielokrotnia produkcję, zdobywa polski rynek rolniczy...

Oto niedokładny obraz prac, które szczelnie zapełniły blisko 40 lat życia prof. Mościckiego. — Pracami naukowemi — o własnych częstokroć wynalazkach — drukowanemi także w języku francuskim i niemieckim przyczynił się wielce do rozsławienia imienia Polski w sposób godny naszej epoki. Przemawiał bowiem do świata cywilizowanego potęgą swych zdolności, ogromem pracy i wytrwałości, głębią i dokładnością przygotowania, śmiałością planów i świetną realizacją.

Długoletnie obcowanie z wielkiemi ideami naukowemi rozszerza i zapala serce Pracownika: pozwala ogarnąć ogrom spraw państwowych, budzi genjusz godzenia obywateli, podtrzymuje marzenia o Polsce materjalnie niezależnej, o wielkich badaniach naukowych, prowadzonych chlubnie przez Polaków.

...Zamyślamy się, jak piękną jest rzeczą, iż umieliśmy wybrać Pierwszym Obywatelem Człowieka wielkiej pracy i nauki i ze czcią chylimy przed Nim głowy.

REDAKCJA.

MNIEJSZOŚCI NARODOWE W POLSCE

Polska po odzyskaniu Niepodległości stanęła wobec konieczności rozstrzygania niezwykle ważnych, a zarazem bardzo skomplikowanych zagadnień państwowych: ustrojowych, społecznych, gospodarczych, narodowościowych i t. d. Wszystkie te zagadnienia wymagały jaknajszybszego rozstrzygnięcia i trudno było ustalić, które z nich jest ważniejsze i pilniejsze.

Życie samo tę kolejność ustalało.

Otóż stwierdzić należy, że, jeżeli chodzi o problem narodowościowy, to nie stanął on dotychczas na porządku dnia z tą mocą, na jakąby zasługiwał, i nie wszedł w stadjum rozstrzygnięć. Przypuszczam, iż dopiero po załatwieniu aktualnej w tej chwili kwestji naprawy ustroju Rzeczypospolitej, oraz po względnem chociażby pokonaniu trudności gospodarczych, które nękają nasze Państwo, będzie można przystąpić do rozwiązań w zakresie zagadnień narodowościowych.

Wydaje mi się, iż ta kolejność, narzucona przez życie, jest uzasadniona również z puktu widzenia łączności wewnętrznej tych zagadnień i to właśnie w tym kierunku, że dopiero po ustabilizowaniu ustroju i podstaw gospodarczych państwa będzie można pokusić się o rozstrzygnięcie problemu narodowościowego. Nawet wówczas, oczywiście, te rozstrzygnięcia nie będą mogły nastąpić odrazu, ale w każdym razie rozpocznie się okres, w którym poszczególne zagadnienia mniejszościowe będą szły na warsztat pracy państwowej.

Jeżeli jednak mamy dziś dojść możliwie rychło do tego momentu rozstrzygnięć, to już teraz — i to w tempie szybkiem — muszą być prowadzone intensywnie prace przygotowawcze, bez których o jakichkolwiek rozstrzygnięciach **świadomych** wogóle mowy być nie może. Prace te muszą dotyczyć z jednej strony szczegółowej analizy położenia poszczególnych mniejszości narodowych, z drugiej zaś strony ustalenia zasad, na których ma się opierać polska polityka narodowościowa.

Jeżeli chodzi o pierwszą dziedzinę tych prac, to trzeba sobie dokładnie uświadomić fakt, że prace tego rodzaju w sposób właściwy prowadzone są dopiero od niedawna i to w rozmiarach niewystarczających [1]), i że wobec tego istnieje konieczność odrobienia olbrzymich zaległości. W Polsce, jak wiadomo, około 1/3 części ludności stanowią mniejszości narodowe: liczba Ukraińców waha się między 4½ — 5 milj., Białorusinów — między 1.500 — 1.600 tys., Niemców — między 900 — 1 milj., Żydzi wynoszą około 3 milj., Litwini około 85 tys., Rosjanie około 200 tys., Czesi około 30 tys. Tymczasem znajomość tych narodowości w społeczeństwie polskiem — należy śmiało to stwierdzić — jest minimalna, nawet t. zw. sfery polityczne w tej dziedzinie bardzo często grzeszą daleko idącą ignoracją. Mało jest takich Polaków, którzyby się dokładnie orjentowali w życiu politycznem naszych mniejszości, a cóż dopiero w życiu ich ekonomicznem, społecznem, kulturalnem i t. d.! A jakżeż można decydować o sprawach ,dotyczących mniejszości, jeżeli się mniejszości tych nie zna? Dlatego też **zagadnienie poznania narodowości,** zamieszkujących w Rzeczy pospolitej, jest jednem z ważniejszych i od niego trzeba zacząć. Mur chiński, który sztucznie oddziela społeczeństwo polskie od społeczeństw niepolskich, trzeba jak najprędzej zwalić i, jeżeli nie całe społeczeństwo polskie, to przynajmniej jego część kierownicza musi zrobić wysiłek w tym właśnie kierunku; dla młodzieży, zwłaszcza tej, która przygotowuje się do pracy państwowej, otwierają się na tem polu rozległe dziedziny zainteresowań i badań.

Druga rzecz — to jest, jak powiedziałem, potrzeba ustalenia zasad naszej polityki narodowościowej. Pod tym względem panuje u nas dotychczas taki chaos, że nietylko nie można mówić o wypracowanych już zasadach, ale — co gorsza — między jednostkami, które mogą uchodzić za kompetentne w tym zakresie, brak jest dotychczas wspólnego języka, a nie wiem czy nawet nie alfabetu. Wystarczy czytać uważnie naszą prasę codzienną, aby się przekonać, jakie herezje wypisuje się na ten temat. Utrudnia przytem porozumiewanie się w tych sprawach wielka ilość przesady demagogicznej, pustej frazeologji, powierzchownych sądów i brak odwagi cywilnej.

W artykule niniejszym nie mam zamiaru tych zasad ustalać, chcę jednak wysunąć naczelne kwestje, które w zasadach tych powinny być uwzględnione.

Najważniejsza z nich to sprawa wzajemnego stosunku następujących czynników: państwa i narodu polskiego z jednej strony i mniejszości narodowych z drugiej. Tutaj więc wystąpi to przedewszystkiem zagadnienie, które często jest przedmiotem dyskusyj politycznych, mianowicie czy państwo polskie pod względem swej struktury etniczno - ustrojowej jest państwem narodowościowem czy narodowem, czy więc w państwie naszem czynnikiem decydującym ma być wyłącznie naród polski, czy też musi tu być dopuszczony również głos innych narodowości, czy egoistyczne interesy narodu polskiego winny być uwzględniane w naszej polityce państwowej, czy też interes państwa wymaga podporządkowania mu interesów tamtych i w czem to podporządkowanie winno się wyrazić. Dalej odpowiedzi wymaga zapytanie, czy stosunek naszego państwa do poszczególnych mniejszości narodowych powinien i może być jednakowy, czy też zależnie od sytuacji zewnętrznej i wewnętrznej musi się układać w rozmaitych płaszczynach zależnie od tego, z jaką mniejszością narodową ma się do czynienia.

Łatwo zrozumieć, że nawet po ustaleniu zasad w powyżej określonych granicach, warunki specyficzne wobec każdej mniejszości narodowej, a nawet na każdej części obszaru Rzeczypospolitej, wymagać będą ustalenia szczegółowych zasad, dotyczących metod postępowania. Jest bowiem rzeczą oczywistą, iż inaczej można i trzeba postępować wobec np. mniejszości żydowskiej, niż wobec mniejszości ukraińskiej.

Naczelnem jednak zagadnienie w tej dziedzinie jest określenie celu polskiej polityki narodowościowej. Od niego zależy tok myśli. Ono jest punktem wyjścia dla wszystkich dalszych rozważań. Wydaje mi się, iż cel tej polityki da się określić w następujących słowach. Polska polityka narodowościowa, rezygnując z asymilacji narodowej (wynarodowienia), winna dążyć do asymilacji państwowej, czyli do pozyskania narodowości niepolskich dla państwowości polskiej. Innemi słowy: polityka ta zmierzać powinna do tego, żeby między interesami Rzeczypospolitej i interesami narodowości ją zamieszkujących osiągnięta została możliwie najdalej idąca zbieżność.

Stanisław J. Paprocki

[1]) Mam tu na myśli prace naukowe wykonywane przez Instytut Badań Spraw Narodowościowych.

WSPÓŁŻYCIE ZE SZTUKA

O ogólnym poziomie kultury społeczeństwa świadczą nietylko dzieła sztuki stworzone przez artystów danego kraju, ale również stopień i rodzaj zainteresowania jaki te dzieła wzbudzają w najszerszych warstwach.

Poziom sztuki danego kraju i zainteresowanie się społeczeństwa to czynniki wiążące się ze sobą, ale nie jednoznaczne. To też może istnieć taka sytuacja, że nietylko poszczególne jednostki z pośród artystów ,ale całe działy sztuki w jakiemś społeczeństwie staną na bardzo wysokim poziomie, zdobywając uznanie na terenie międzynarodowym i zyskując pochlebną opinję dla wysokiej kultury swojego kraju, podczas gdy w tym kraju właśnie nie znajdą zrozumienia, ani należytej oceny. Rezultatem takiego stanu rzeczy jest częściowa emigracja i wynaradawianie się artystów, oraz produkowanie dzieł sztuki i wyrobów przemysłu artystycznego na potrzeby rynku zagranicznego, z pozostawieniem krajowego zalewowi swojskiej i obcej tandety.

To też dążeniem każdego społeczeństwa powinno być podniesienie poziomu kulturalnego najszerszych warstw. Wyrobienie i rozwinięcie ich pojęć estetycznych. Praca nad tem powinna wchodzić zarówno w program polityki państwa, jak i instytucyj społeczno - kulturalnych, popierających sztukę, w zakresie szerszym, niż to się czyni dotychczas.

Przeważnie bowiem popieranie sztuki ujmuje się niemal wyłącznie, jako bezpośrednie popieranie artystów, przez tworzenie i doskonalenie artystycznego szkolnictwa, fundowanie stypendjów i subsydjowanie przemysłu artystycznego. Sprawę zaś kształtowania pojęć estetycznych ogółu obywateli pozostawia się łasce losu, jakby zapominając, że oni przecież w pierwszym rzędzie będą odbiorcami dzieł artystów.

Wskutek tak jednostronnej działalności, zamiast zacierać, potęguje się jeszcze naturalny rozdźwięk między artystą, a społeczeństwem, budząc u jednej ze stron gorycz i zniechęcenie u drugiej torując drogę błędnym pojęciom i szkodliwym z punktu widzenia kultury wpływom.

Taki stan rzeczy istnieje, między innemi, w naszem społeczeństwie. Artyści nasi znani są w całym świecie, na wystawach artystycznych zagranicą zdobywamy pierwsze miejsca, mamy znakomite szkolnictwo artystyczne ,ale wszystko to jest ogółowi społeczeństwa równie obce i nieprzydatne, jak najwspanialsze wynalazki współczesnej cywilizacji eskimosom.

Jaskrawym przykładem jest choćby sprawa przyznania praw akademickiej Szkole Sztuk Pięknych w Warszawie, która od szeregu lat nie może zyskać zatwierdzenia Sejmu, choć przez ten czas zdołano przyznać prawa akademickie różnym uczelniom. Sztuka jednak jest dla wyrazicieli opinji, kraju zbytkiem, rzeczą niedość ważną, aby sobie nią głowę zaprzątać.

Tak samo mniej więcej układa się stosunek do sztuki najszerszych warstw t. zw. inteligencji.

Wyraża się on w pełnej poszanowania obojętności i absolutnej niechęci do samodzielnego wysiłku myślowego w kierunku zrozumienia jakichkolwiek przejawów sztuki. Utarł się zwyczaj kształtowania tego stosunku do sztuki na rachunek nieulegających zakwestjonowaniu w pojęciu publiczności autorytetów. Co wystawione w Zachęcie — to sztuka, co Kossak — to Kossak, co stylowe — to ładne. T. zw. zainteresowanie się sztuką u poszcególnych jednostek przejawia się często jako łaźność do zapamiętania większej ilości takich autorytetów i pewnej sumy określeń zaczerpniętych z krytyk artystycznych pism codziennych.

Nic dziwnego, że taki stan rzeczy wywołuje protesty wśród ludzi rzeczywiście rozumiejących potrzeby i znaczenie sztuki. Pojawiają się projekty mające na celu zmianę istniejącego stanu rzeczy. Najczęściej mówi się o konieczności wprowadzenia historji sztuki do programu ogólnego wykształcenia, o uwzględnieniu literatury współczesnej w wykładach gimnazjalnych.

Przeprowadzenie takiej reformy kryje w sobie tyle trudności, że mogłyby one zanulować jej znaczenie. Szkoła uczy rzeczy nieulegających zakwestjonowaniu, ani wątpliwościom. Do tego założenia przystosowany jest już od wieków aparat myślowy nauczyciela i ucznia. Najsamodzielniej, według systemu daltońskiego, pracujący uczeń musi zawsze dojść do takich, a nie inych wyników i te wyniki zostaną mu w pamięci na całe życie, jako pewnego rodzaju żelazny kapitał. Dodanie do owego kapitału jeszcze pewnej sumy wiadomości o sztuce nie wpłynęłoby na bieżący stosunek społeczeństwa do sztuki, która bezustannie idzie naprzód.

Sztuki nie można się nauczyć, trzeba wyrobić w sobie jej zrozumienie, trzeba się z nią zżyć. W dążeniu do tego celu najmniej będzie potrzebna ta z władz umysłowych, którą najczęściej posługujemy się przy przyswajaniu nauki szkolnej, t. j. pamięć. Chcąc zyskać zdolność prawdziwego współżycia ze sztuką trzeba obserwować, myśleć, dociekać, mylić się i zmieniać zdanie, probować, nie wierzyć nikomu bezapelacyjnie, wyrastać z różnych chwilowych autorytetów, jak z dziecięcych zakrótkich sukienek — gdzież na to wszystko miejsce w programach i metodach szkolnych?

Dwie są wszakże racje łączenia tych zadań ze szkołą. Jedna, że szkoła może odegrać dużą rolę, jako teren doświadczeń i źródło nabywania pomocniczych wiadomości (historja, literatura, rysunki, śpiew i roboty), druga, że wiek szkolny to najodpowiedniejszy okres rozpoczynania prób współżycia ze sztuką, zarówno ze względu na nieukształtowany jeszcze stosunek do zagadnień życia, jak i na właściwą wszystkim w tym wieku chęć samodzielnego kształtowania tego stosunku, pęd do doskonalenia się, zamiłowanie do modelowania własnego ,,ja". To też zainteresowanie sztuką młodzieży jest o wiele ważniejsze i bardziej będzie owocne, niż propaganda tych idei wśród dorosłych.

Jeżeli młodzież zrozumie, że zdobycie umiejętności współżycia ze sztuką da nietylko korzyść i zadowolenie jednostkom, ale przyczyni się do kulturalnego i ekonomicznego rozwoju państwa — uczynimy na polu kulturalnem olbrzymi krok naprzód. Kiedy zyskamy to, że przeciętny obywatel, dziś z podziwem i absolutnie bez zrozumienia patrzący na obraz, lub rzeźbę zrozumie, że niekażdy obraz jest dziełem sztuki, kiedy nie będą mu obojętne proporcje domu, w którym mieszka, krzesła na którem siedzi, deseń dywanu i kształt kieliszka, kiedy biorąc książkę do ręki zobaczy w niej nietylko piękne myśli, ale dobrą kompozycję literacką, styl, język, kiedy nauczy się spostrzegać i oceniać stronę graficzną książki, technikę reprodukcyj i kiedy zacznie odczuwać zadowolenie z tych rzeczy, wtedy dopiero będziemy się mogli nazwać prawdziwie kulturalnem społeczeństwem.

Dziś dążymy tylko do coraz większego doskonalenia naszej cywilizacji przeważnie w sensie udogodnień życiowych. Całe rzeczywiste piękno życia przepływa koło nas bezużytecznie, gdyż nie umiemy zeń czerpać. Niedostępne są dla szerszego ogółu szczere i silne wzruszenia estetyczne, choć widzimy stałe ich poszukiwanie, prowadzące, wskutek nieorjentowania się do coraz większego zamętu w dziedzinie artystycznych pojęć.

Trzeba raz znaleźć wyjście z tego błędnego koła. Konieczna jest silna propaganda w kierunku wzbudzenia zainteresowania zagadnieniami sztuki. Propaganda powinna też skierować usiłowania poprawy w tym względzie na najlepsze wyniki dać mogącą drogę samokształcenia. Ta bowiem chęć i obietnica dobrowolnej i samodzielnej pracy złożona obraniem drogi samowykształcenia jest jedynym gruntem, na którym w dzisiejszych warunkach wyrosnąć może prawdziwe współżycie ze sztuką. Tworzenie kółek samokształceniowych, pod fachową opieką i kierownictwem będzie najlepszą organizacyjną formą takiej pracy.

Pragnąc dopomóc istniejącym próbom, oraz zapoczątkować nowe, będziemy starali się o umieszczanie stałe artykułów, które mogłyby stanowić wskazówki i materjał do opracowania i przemyślenia.

Juljan Bogdanowicz

REKORDY WOLI

(Dokończenie)

W roku 1787 Horacy Benedykt de Saussure dotarł do szczytu Mont Blanc. W dwa lata później znalazł się u podnóża Matterhornu. Człowiek, który potrafił z przedziwnym uporem, dwadzieścia siedem lat zmagać się z Mont Blanc — nie ośmielił się jednak marzyć o szczycie Matterhornu. „Stoki pionowe, nawet śniegom odmawiające oparcia, wykluczają możliwość pokonania tej góry" — pisał. Zadowolił się więc zbadaniem tej jedynej w swoim rodzaju skały, rzucającej w niebo swe szpiczaste ostrze „dumnego szczytu, wznoszącego się, jak obelisk trójgraniasty, wyciosany rylcem", i rozmyślał o tem, jaką pracę tytaniczną wykonać mysiała natura, by wydrzeć górze tyle żywego ciała, a pozostawić sam nagi szkielet w postaci strzelistej ciemnej piramidy.

Zdziwienie, niepokój, lęk — wszystko znajdziemy w licznych opisach tego fantastycznego szczytu. John Ruskin poświęca mu prawdziwe hymny mistyczne.

Przez długie, długie lata nikt, ani uczeni, ani alpiniści, ani nawet górale nie wyobrażali sobie, by stopa ludzka zdołała kiedykolwiek oprzeć się o kant skalnego tytana.

Jednak pokonywanie, ujarzmianie przyrody leży w naturze człowieka. Śmiała myśl powoli dojrzewała. W roku 1858 dokonali pierwszej próby bracia Carrel. Bezskutecznie. Powtórzyli; bezskutecznie. Usiłowali jeszcze bracia Parker, Tyndall, Hawkins i inni, znowu i znowu. Lecz Matterhorn szydził z człowieka.

Wtedy przyszedł Edward Whymper.

Między kolosem fizycznym, a kolosem woli rozpoczął się bój homeryczny, walka na śmierć i życie.

W 1861 pierwsza próba. Whymper dotarł do miejsca, skąd „butelka, rzucona na parę kroków, uderzała o ziemię dopiero po 12 sekundach spadania". W nocy kamienna lawina przeleciała tuż nad jego głową. Matterhorn oddał pierwszy strzał, ale chybił...

W 1862 druga próba. Żaden przewodnik nie chce iść z Whymperem. Towarzyszy mu jedynie przyjaciel Macdonald. Po straszliwych zmaganiach z górą i wichrem musieli się cofnąć.

Trzecia próba. Również niepowodzenie!

Po raz czwarty Whymper poszedł sam jeden — rzecz w alpinizmie niesłychana. Zaszedł bardzo wysoko, był o 100 m. od szczytu, gdy runął w przepaść. Przeleżał w śniegu, długie godziny bez przytomności. Gdy powrócił na dół, wszystkich ogarnęło przerażenie. Miał dziesięciocentymetrową ranę na ciemieniu, 7 ctm. przy prawej skroni, część ucha oderwaną, lewą dłoń rozdartą, część stopy wyrwaną razem z butem i 15 innych ran!

Było to 19 lipca. 63-go, szaleniec szedł do ataku poraz piąty. I znowu daremnie, choć był znów blisko celu.

Poszedł poraz szósty i siódmy. Został odparty.

Zaczęto go uważać za nieuleczalnego i trochę niebezpiecznego obłąkańca. Atak ósmy był nową kleską.

— Po co pan się zasklepia w ściganiu celów nieosiągalnych — perswadują Whymperowi wszyscy, patrząc nań z litością.

I Whymper miota się jak tygrys w klatce, samotny, niemal otwarcie wyśmiewany. Tracił ostatnie nadzieje, gdy los mu się nareszcie uśmiechnął. Zjawił się niespodzianie lord Francis Douglas, projektując parę wycieczek. Rozmowa trwała minutę. Młody lord był do dyspozycji. Za chwilę pędzili co tchu do Zermattu. Whymper o stalowych nerwach płakał z radości i niepokoju. W Zermatt zastali innych Anglików, Hudsona i 19-letniego Hadowa, którym towarzyszyli przewodnicy Cruz, Tangwalder ojciec i Tangwalder syn. Przyłączyli się natychmiast.

Whymper, dzięki swej olbrzymiej sile ducha i ogarniającej go coraz bardziej egzaltacji — przypiął wszystkim skrzydła. Szli za nim bez lęku, bez namysłu. A on parł naprzód niepowstrzymanie ,idąc, jakby we śnie hypnotycznym, ku celowi.

Siedem lat bronił się bohatersko kolos skalny, ale temu Whymperowi, który nań nacierał 14 lipca 1865 — oprzeć się nie mógł, oprzeć się nic nie mogło. To nie był już człowiek, to była personifikacja nieprzełamanej woli ludzkiej.

Matterhorn został zdobyty, człowiek oparł oń zwycięską stopę.

Góra zaprzysięgła zemstę. Alpiniści ruszyli dopiero w drogę powrotną, gdy ostry występ skały przeciął zdradziecko linę. Douglas, Hadow, Cruz i Hudson runęli w przepaść. Z początku toczyli się razem, potem każdy zosobna, każdy w inną stronę. Trzy rozszarpane trupy odnaleziono w śniegu, ciała lorda Douglasa nie znaleziono nigdy.

Ale Matterhorn był zdobyty!

W walce z Mont Everestem zginęli już Croine i Mallory, zginie może jeszcze wielu. Ale wierzchołek świata podda się, jak poddał się Matterhorn, jak poddały się bieguny, jak pokonany został Atlantyk. Bo wola ludzka wszystko może, a rekordy woli nie mają granic.

Czytamy, i słuchamy o tych wyczynach heroicznych z głębokiem wzruszeniem. Rozumiemy ich wartość — właśnie jako rekordy. Nie zastanawiamy się bowiem nad tem, czy fakt dotarcia do bieguna, czy fakt pokonania tego, lub owego szczytu, czy przelot przez Atlantyk, przebycie wpław kanału La - Manche, lub inny wyczyn podobny bezpośrednie praktyczne korzyści przynoszą. Ten wzgląd schodzi na plan drugi. Na pierwszy wysuwa się świadomość, iż człowiek — przedstawiciel rodzaju ludzkiego dokonał rzeczy wielkiej, zdobył się na wysiłek ogromny, potrafił dzielnością swą, hartem ducha, nieprzełamaną siłą charakteru zaimponować... samemu sobie.

Czytając i słuchając o tych bohaterskich przykładach, czujemy, że w opinji wałsnej stajemy się większi.

W momencie, kiedy Whymper stanął na hardym szczycie Alpejskim, cała ludzkość wzniosła się wyżej, niż stała przedtem. W momencie, gdy Scott konał wśród białych pustkowi — cała ludzkość wyrosła o cal.

W momencie, gdy sędziwy Amundsen wyleciał na północ, na pomoc rozbitków „Italji", na pomoc swemu wrogowi Nobile, wyleciał — by już nie wrócić nigdy, — każdy, najmarniejszy i najnędzniejszy człowieczyna, poczuł, że mu duma pierś rozsadza.

Powiedzą może — ponure nakreślam obrazy, gdzie czarna Śmierć personą jest najpierwszą. Nie lękam się tego zarzutu, choć radość krzewić jest mojem pragnieniem, choć radosnym chcę widzieć człowieka. Nie lękam się dlatego, że wiem, iż poświęcenie, iż ofiara nieuniknione są tam, gdzie się stykamy z prawdziwą wielkością Bohaterska śmierć — czy nie ona rodzi nieśmiertelność, daje wieczne życie.

Niema zwycięstwa bez strat. Wielki szlak Postępu był i będzie odmierzony, miast kilometrowych słupów — pomnikami poległych, promieniejącemi, radosnemi nieskończenie w swej żałobie.

Dążenie naprzód, dążenie wwyż — to nakaz natury ludzkiej. Przewyższać inych, prześcigać samego siebie — oto rozkosz najwyższa. Postawić rekord — to cel najbardziej upragniony.

A stawiając rekordy woli, rekordy wytrwałości w dążeniu do mety, rekordy hartu, samozaparcia w znoszeniu cierpień fizycznych i moralnych w walce o urzeczywistnienie swego ideału — stawiamy rekordy najszlachetniejsze i najpiękniejsze. Stajemy się najbardziej godni pełnego uwielbienia i szacunku określenia.

— Oto człowiek!

Wiktor Junosza

HALLO TU L. O. P. P.!

Podstawą rozwoju Państwa w dzisiejszej dobie a zarazem i warunkiem zasadniczym, od którego zależy pokój i — związany z nim normalny rozwój życia gospodarczego, jest kwestja lotnicza.

Problem to oczywiście trudny, wymagający wiele wysiłku, lecz możliwy do osiągnięcia. W dziedzinie tej pomimo niedomagań finansowych zrobiono u nas bardzo dużo, a rezultaty tego wysiłku rokują o dalszym pomyślnym rozwoju lotnictwa polskiego.

Jeżeli chodzi o ogół naszego społeczeństwa to niezupełnie zdajemy sobie sprawę, że praca ta posuwa się może powoli, lecz stale naprzód. W ujmowaniu więc tego tak ważnego problemu jakim jest lotnictwo musimy doceniać należytą rolę nietylko starszych, lecz i szerokich mas młodzieży. Organizacją, której rozwój jest ściśle związany z rozwojem naszego lotnictwa — jest Liga Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej.

Popieranie L. O. P. P. jest więc obowiązkiem każdego, któremu leży na sercu sprawa rozwoju lotnictwa.

Czem jest L. O. P. P. dla lotnictwa, to najlepiej ilustrują prace wykonane przez tę organizację.

A więc zapoznajmy się z kwestją przygotowania sił fachowych dla lotnictwa.

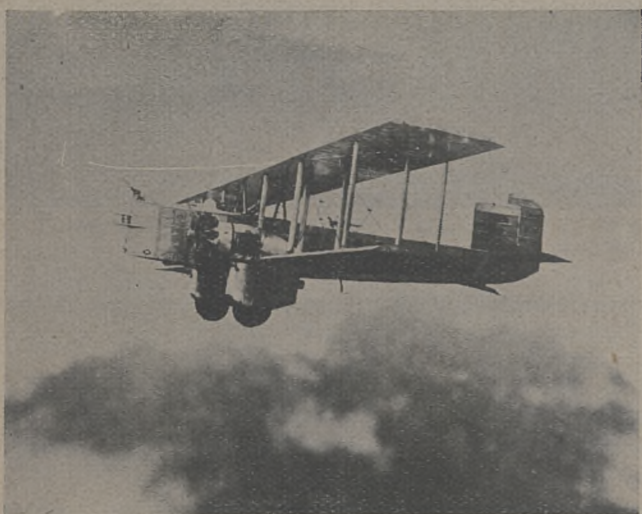
Tutaj L. O. P. P. może się poszczycić pięknemi wynikami. Zbudowano Instytut Aerodynamiczny w Warszawie, który badaniami swemi, przyczynia się do rozwiązania ważnych i zawiłych problemów lotniczych.

Szkoły w Bydgoszczy i we Lwoie przygotowują nowe kadry mechaników dla lotnictwa cywilnego. Uczniowie tych szkół są całkowicie na utrzymaniu L. O. P. P.

Buduje się i już w roku bieżącym będzie ukończona szkoła Pilotów w Radomiu. Cały szereg kursów z dziedziny lotnictwa prowadzonych w różnych miejscowościach Polski, dopełnia całości, tego co L. O. P. P. robi w tej tak ważnej dziedzinie.

Naturalnie, że jest to tylko drobna cząstka działalności L. O. P. P. Bo gdy weźmiemy pod uwagę inną dziedzinę lotnictwa, sprawę rozwoju sportu lotniczego lub kwestję uświadomienia społeczeństwa, to tu również zobaczymy, że L. O. P. P. dokonała b. dużo.

Popieranie budowy awionetek, czy to w formie zapomóg pieniężnych, czy też dostarczania silników, lub urządzania konkursów. Wielki rozwój modelarstwa w każdej pra-



Nad chmurami.



Samolot linji Aerolot.

Na progu skoczni i życia

Władek Bukowski powoli szedł po stopniach do góry. Zanim kroczył zadyszany, piegowaty chłopak, dźwigający ciężkie narty do skoku. Mijali zmarzniętych widzów konkursu, poruszających się niezdarnie na zalodzonej stromiźnie zbocza. Raz po raz rozlegał się głos trąbki i wysoko z poza półkowej krawędzi progu wystrzelał w powietrze narciarz i z łoskotem przepadał w dole po za murem zbitych głów. Głośne klaśnięcie lądujących desek, brawa i okrzyki, lub niespokojny szept tłumu, zależnie od wyniku ewolucji.

Władek nie zerknął nawet na stojących współzawodników. Nie widział przyjaznych uśmiechów publiczności, mętnym uśmiechem odpowiadał na liczne zawołania: Władek byczo! — niedaj się, tylko tak dalej,— i temu podobne. Zdawało się, iż dla niego nie istnieje nic ciekawszego od kwadratowych nosów własnych bucików. Mijając trybunę sędziowską, zapytał człowieka z megafonem w ręku:

— Ile?

— 43.

— Mało.

Powlókł się dalej. Jak na pierwszy skok, długość doskonała. Pozycję w powietrzu miał dobrą (czuł to sam), a zeskok wykonał pewnie. Nie cieszyło go to jednak wcale. Miał rozterkę w duszy. Zmartwienie oblepiło ją niczem mokry śnieg narty i przywarło. A dzień ten był dla niego przełomowy; nietylko dlatego, iż od wyników w konkursie skoków zależał jego wyjazd zagranicę na szereg zawodów międzynarodowych i to wyjazd pierwszy w życiu, ale porzuciła go jedyna towarzyszka.

Tak! — Lusia, ta miła, kochana wyrwała w góry z jakimś „ananasem", ona, zapalona wielbicielka Władkowego wybicia się, tego bajecznego złamania się w pół, jednym słowem, — stylu; idzie sobie na przełęcz Kondratową, jak gdyby nigdy nic innego podczas skoków nie robiła. Jak to pojąć, jak rozwikłać? — Pierwszy raz spotkał się z czemś takiem. Odkąd się znali, nie opuściła żadnej konkurencji, treningu, byle być z nim i napatrzeć się do syta wyczynom towarzysza. Stała w pobliżu, pięćdziesiątego metra i roziskrzonemi oczyma ścigała jego powietrzne loty. Nieodstraszały jej wichry, ani zawieje; tupała zmarzniętemi nogami i rozcierała zaczerwieniony nosek, tkwiąc do końca na stanowisku. Nie wolno było przy niej krytykować Władka. Nieraz, gdy on utytłany śniegiem i rozkrzyżowany, staczał się w dół, lub koziołkował po twardej powierzchni wybiegu — ona kłóciła się zawzięcie z grupą przygodnych towarzyszów o przyczyny upadku. To śnieg! — źle ubity próg, smar nieodpowiedni, zbyteczne wrzaski gawiedzi, wiatr, — tylko Władek nie był winien. Pewnego razu, gdy starł sobie skórę z policzka i podbił oko, podarła rękaw od własnej bluzki i to nowej, zabandażowała tak umiejętnie, iż migiem przestało boleć.

— Panie Bukowski! — Jeszcze tylko Jarząbek i na pana kolej — trącił go mały towarzysz. Mówiąc te słowa podsunął narty.

Władek podniósł deski i spojrzał na powierzchnię spodów.

wie szkole również zawdzięczamy L. O. P. P.

Dział ten jest potrzebny, gdyż popularyzuje lotnictwo, zapoznaje z budową płatowca i wyrabia oko przyszłych konstruktorów.

Dlatego też L. O. P. P. specjalnie silny nacisk kładzie na to, rok rocznie urządza konkursy i różne imprezy w tej dziedzinie.

Lecz nie koniec na tem, L. O. P. P. popiera przemysł lotniczy. Wszyscy widzieliśmy płatowiec komunikacyjny P. W. S. 20, wykonany przez fabrykę samolotów w Białej Podlaskiej. Większą część kosztów budowy tego płatowca poniosła L. O. P. P. Silnik inż. Zalewskiego, wykonany w firmie „Avia" w Warszawie, zbudowany został staraniem L. O. P. P.

Jeżeli dodamy do tego budowę lotnisk uprzystępniającą komunikację lotniczą w Polsce, to zobaczymy, że L. O. P. P. jest ważnym czynnikiem rozwoju lotnictwa w Polsce.

Nie omówiliśmy jeszcze jednej ważnej dziedziny, to jest obrony przeciwgazowej, którą ze względu na aktualność omówimy innym razem.

Jednak już z tego krótkiego szkicu, widzimy, że posługując się drobnemi składkami (50 gr.) L. O. P. P. dokazała wielkiego dzieła — dążąc do ugruntowania i wzmocnienia lotnictwa — a tem samem naszego Państwa.

inż. Jerzy Witkowski

Słońce i śnieg

Zima w pełni. Tu u nas, na naszym warszawskim bruku, często mokro, oślizgłe błotko, mgła ciężka wisi nad miastem, jak zmora, lecz tam, gdzieś w Tatrach na Hali Gąsienicowej, lśni już i błyszczy świeża szata śnieżna, w którą się ubrały otaczające szczyty.

I niejeden z nas pomimo nie przespanej nocy, rzeźwo wyskoczy z wagonu na stacji w Zakopanem i, radując swój wzrok, zaróżowionym od wschodzącego właśnie słońca, Giewontem, ruszy, nie tracąc czasu, w słońce i śnieg.

Ileż tam tematów dla fotografa, umiejącego wyczuć ten zaczarowany świat.

Te podwórka chałup i dworków góralskich, te płaszczyzny dachów grubo przywalone śniegiem i silnie odbijające promienie słoneczne na tle ciemnego błękitu, — dachy te, jakby się umyślnie nastawiały ku słońcu. To znów w innem miejscu, promienie słoneczne, ślizgające się po spadzistości dachu, uwydatniają przedziwną atłasowość powierzchni śniegu, usianą tysiącem djamentów.

A dalej wśród mroku wyniosłych smereków, przerywający się promień słońca, pada akurat na grupę zasypanych śniegiem małych świerków, gdzie na igłach osiadły duże kuliste czapy śniegu.

A het! wyżej, gdzieś na hali, tam już całe morze słońca, które otacza nas z góry, z dołu, boków...

Śnieg jak puch. Przy każdem posunięciu narty, zaledwie lekko chrzęści pod nogami. Wokoło wisi jakaś dziwna słoneczna cisza...

A za nami, na fioletowej powierzchni śniegu, ciągną się aż do lasu długie dwie jasne linje — to ślady od nart.

Ale jak? jak utrwalić i oddać to słońce i ten śnieg i te setki tematów, na które co krok natrafiamy?

Tu obowiązuje absolutna konieczność używania żółtego filtru (Patrz Sternik Nr. 2, R. I.). Bez niego nie otrzymamy na fotografji nic; powierzchnia śniegu będzie jednostajnie biała, cienie i cała plastyczność gdzieś przepadną, a lśniące swoją białością szczyty zleją się znowu, jak owe białe obłoki z błękitem nieba.



Chata góralska (fot. p. St. Zyberk-Plater)

Wszystko to, co obowiązywało przy otrzymywaniu obłoków na fotografji, należy zastosować i tu.

Wtenczas zachowamy w pamięci to słońce i śnieg i tę dziwną ciszę, tam gdzieś z hali i choćby otaczała nas długo niepogoda i mgła, dość będzie rzucić okiem na fotografję, by odrazu ożyło w nas to coś, co jest słońcem wewnętrznem.

Stefan Zyberk - Plater

— Oblodziło — mruknął. Wyjął scyzoryk i jął delikatnie zeskrobywać przymarznięte smugi śniegu. Następnie przetarł dłonią nieskazitelną czerń smaru, wygładził kawałkiem parafiny, a ułożywszy deski na śniegu przypiął wiązanie do nóg, poczem ruszył na start. Minąwszy grupę następców, szerokim śladem zjechał na rozbieg. Rozkroczywszy się, spojrzał w dół. Właśnie numer jedenasty wjeżdżał na próg skoczni. Skulony mknął chyżo, nagle wyprężył się i rzucił w błękitny cień i zniknął. Po chwili pojawił się nikły i maleńki, niczem przecinek w oświetlonym przez słońce półkolu i pędził w zwarty tłum publiczności. Dwa ostre zwroty w lewo i prawo, obskok i stoi; — ‚jakżem daleko od niego. Jemu już się udało!" — Megafon krzyczy 49 metrów!

Teraz na Władka kolej! Poprawia ubranie i numer na plecach. Zbiera siły i całą przytomność umysłu. Słyszy, jak wywołują jego nazwisko, przynależność klubową. Gwizd i zaraz potem głos trąbki. Barwna chorągiewka miga na odskoczni. Jazda! Ruszył w dół łącząc nogi i narty. Zwarł się i przyczaił każdym mięśniem. Pęd rośnie. Poprawia czapkę na głowie i pochyla się. I nagle — w tym jednym jedynym moencie, gdy czuby nart mijają krawędź progu, wydźwignął się cały wzwyż, zerwał się jak ptak do lotu i pochylony wprzód runął w powietrzną przestrzeń. Wysoko jest nad ciemną taśmą zeskoku. Zgniata palcami nóg dzióby nart w dół. Mróz, oczy łzawią, uciecha, niepojęta radość. Już zbiega się z ziemią, narty klaszczą, ląduje gładko, szybkość wzrasta. Nagle szarpnięcie pod lewą deską. Świat się zatoczył.

Wali się, głowa i nogi, — jeden wir. Śnieg lepi oczy, usta. Deski ponad głową. Trzask! Jedna z nich wyskakuje wysoko. A on spada jak manekin wypchany trocinami; nareszcie — stop.

Pierwsza myśl: skok z upadkiem.

Biedny narciarz powstał ubielony śniegiem. Brwi, rzęsy, wszędzie śnieg, za kołnierzem, pod bluzką, w kieszeniach. Na jednej narcie umyka z trasy. Po drzewem odpina deskę i przepychając się przez tłum zdąża w stronę bufetu. Pełen jest jadowitej złości. — Tak! — to Lusia winna; gdyby o niej nie myślał, wszystko poszołby jak po maśle. Wie, że niewszystko stracone, ponieważ z trzech skoków w konkursie, dwa najlepsze będą klasyfikowane, ale niedopuszcza tej myśli do siebie. Lepiej mu tak pastwić się w myślach nad Lusią. Gdyby ją dopadł niewiadomo do czego byłby zdolny.

Ale tam całkiem głęboko w świadomości tkwi jasno: sameś winien. Poco myśli o niej, gdy skacze? niech lepiej przypomni sobie o obietnicy wyjazdu w świat; skoro zaś na niej mu tak zależy, niech porzuci narty do skoku, przypnie biegówki i pogna w góry.

Wygarnął śnieg z pod bluzki, wytarł mokrą twarz i raźniej zrobiło mu się w sercu.

Postanowił napić się herbaty, a problem Lusi odłożyć na popołudnie.

Zawody odbywały się dalej. Widzowie przysłaniając ręką oczy patrzyli wysoko w górę, to znów jedli, fotografowali, grzejąc się w promieniach słońca. Powracający na start skoczkowie mijali Władka. Tam i tam zafurczał samochód, zadzwoniły dzwonki sanek, zabrzmiał wesoły

WYGODA

(feljeton)

Pewien znany francuski dziennikarz ogłosił swego czasu ankietę p. t. „Co jest najważniejszym czynnikiem życia codziennego?". Ankieta ta wywołała duże zainteresowanie wśród publiczności paryskiej.

Zdania były podzielone: **Karjera, pieniądze, miłość, zdrowie, śmiech, popularność.**

Dziennik ogłaszał codzienne wyniki ankiety w zestawieniach cyfrowych ,aż nagle, jak grom z jasnego nieba spadł na redakcję maleńki, różowy pachnący liścik, adresowany do autora ankiety.

Szanowny Panie!

Śledzę z dużem zainteresowaniem głosy czytelników i ze zdumieniem stwierdzam, że nikt nie wpadł na właściwy pomysł. Pieniądze, miłość, zdrowie i t. d., t. d., są to czynniki niewątpliwie ważne, możliwe, że nawet b. ważne, ale stanowią zawsze sporadyczny, odosobniony wypadek. Dla mnie kwestja ta przedstawia się znacznie prościej

Najważniejszą rzeczą w życiu jest wygoda. Wygoda zawiera wszystko. Komu jest wygodnie, temu jest dobrze. Voila tout!

podpisano *(—) Boba*

Pismo zrobiło furorę. Komentowano je w rozmaity sposób. List tajemniczej, pięknej zapewne czytelniczki (czytelniczki są zawsze piękne) pobudził conajtęższe pióra do tasiemcowych artykułów: „O wygodzie". Pewien sławny poeta napisał nawet na ten temat cały zbiorek wierszy. Znakomity muzyk ułożył przewspaniałe tango, a malarz namalował niską, pokrytą poduszkami otomanę i podpisał pod spodem: „wygoda".

Powstał nawet klub ludzi „wygodnych".

Wyczytałem to wszystko w jakiejś starej francuskiej gazecie i popadłem w głęboką zadumę.

Temat był sam przez się tak ponętny, że nie mogłem oprzeć się chęci przeflancowania go na nasze dzisiejsze stosunki.

Rozpocząłem się informować na prawo i lewo, w jaki sposób kto pojmuje wygodę?

Odpowiedzi bywały najrozmaitsze.

Pod pręgieżem mojej ciekawości przesunęło się paru wybitnych mężów stanu, jeden minister, dwóch senatorów, pięciu posłów, jeden urzędnik magistracki, trzech aktorów, dziesięć studentek, oficer, adwokat, konduktor tramwajowy, sprzedawca parówek i siwy poważny pan piszący wiersze.

Odpowiedzi nie były zadawalające. Nic takiego, co mogłoby olśnić mojego paryskiego kolegę — wynalazcę ankiety.

Gdy pytałem o wygodę, zagadnięty wzdychał.

— Ach panie... — poczem mówił mi coś o spaniu, pakardzie i okrągłym kapitaliku.

Byłem bliski rozpaczy.

Gdy słyszałem stereotypowe westchnienie, bladłem, jak trup i czułem wyraźnie zimne dreszcze spływające mi wzdłuż kręgosłupa.

Wreszcie zrezygnowany zaniechałem pytań i poszedłem do pobliskiej kawiarenki utopić mą rozpacz w pół czarnej.

Tam właśnie spotkałem człowieka, którego opatrznościowej radzie zawdzięczam ten feljeton.

Kończyłem mą opowieść oznajmiając mu, że wobec tego widzę, iż w dzisiejszych czasach wszelkie ankiety są bezcelowe, gdyż zmaterjalizowani ludzie okryli się skorupką banału i szarej powszedniości.

Wówczas wyrzekł krótko:

— Idjota!

— Co to ma znaczyć? — zawołałem czerwony od gniewu.

— Idjota! — powtórzył niewzruszenie.

Począłem gorączkowo szukać wizytówki, by na ubitej ziemi bronić swego honoru.

— Nie miej do mnie żalu za mą spostrzegawczość, ale jak można nie nazwać durniem człowieka, który przeprowadzając ankietę zapomina o najważniejszem.

— ? ? ?... — zmieniłem się cały w znak zapytania.

— Kto zaczął mówić o wygodzie? — ów francuski dzienikarz, ty, lub może ktoś z warszawskich kolegów.

— Hm... właściwie... to była jakaś... anonimowa Boba — wyjąkałem.

— Ach widzisz Boba! Czy owa Boba była mężczyzną czy kobietą?

— Chyba kobietą.

— Doskonale. Czemuż więc nie pytasz o wygodę kobiet, tylko mężczyzn?

— Przecież mówiłem ci o studentkach.

śmiech. Jaskrawiło się zbiegowisko ludzkie wszystkiemi barwami tęczy na białościach śniegu.

Nagle wszczął się rozruch. Ktoś przybiegł na nartach zdyszany, otoczył go tłum, który zwiększał się niepomiernie szybko. Zastanowiło to Władka; podszedł bliżej.

Ludzie rozprawiali gorączkowo. Grupki narciarzy odłączyły się i biegły wydeptanym śladem w stronę gór.

Nawinął się piegowaty Jędrek z nartą zgubioną.

— Co się stało?

— E, nic — kogoś tam lawina przysypała.

— Gdzie?

— Nie wiem — pewno w górach...

— Głupiś.

Poszukał mądrzejszego rozmówcę. W gronie narciarzy dojrzał znajomego, doświadczonego turystę.

— Panie Zdzisiu — jakże z tą lawiną?

— A, to ty Władek! — Ponoć w Kondratowej poszła lawina z pod przełęczy i dwóch narciarzy zabrała. Zawsze mówię, — uważajcie...

Władek zadygotał. Ledwo wyszeptał:

— Kto dał znać?

— Jakiś łazik. — E, Ceper — siedział na polanie przy szałasach — aż tu patrzy, a tam w górze łomot. Zabrał nogi za pas i tu przybiegł.

— No to skąd wie, kogo zasypało?

— Bo go minęło dwóch narciarzy w godzinę przed pójściem lawiny. Ponieważ zaś widział jak pchali się na przełęcz i pozostał tylko jeden ślad po nich, więc prosty wniosek.

— Zna tych ludzi?

— Nie. Tyle wie, że chłopak i dziewczyna. Blondynka, biała bluzka, zielona mycka. Nie trzeba było Władkowi więcej. Cofnął się na bok. To oczywiście Lusia! Cóż teraz począć? — Powinien biec na ratunek. Nic mu nie pomoże świadomość, iż wielu pośpieszy z pomocą, a zwłaszcza pogotowie. Teraz skakać? Czekać trzeba przynajmniej trzy kwadranse na swoją kolejkę. Druga serja skoków musi się skończyć. Następnie przedeptanie zeskoku, a pozatem czy możliwe jest, by skok mu się udał. Wykluczone! Znowuby nosem zarył! — Widzi jak marzenie o wyjeździe topnieje, niczem śnieg pod halnym wiatrem. Rzucił Jędrkowi skokówki z rozkazem by odniósł je do domu. Ten spojrzał na Władka okrągłem, foczem okiem. Lecz nieszczęsny skoczek nie czekał, zawinął się szybko i pożyczywszy turystyczne narty i kijki od znajomego, któremu ten sprzęt narciarski nie ułatwiał życia, pognał na przełaj, ku drodze wiodącej do Kuźnic. Deski latały mu na nogach, lecz on niezwracając na to uwagi, sunął jak na zawodach. Odpiął numer w biegu, wykręcił na szosę i dalej rwał.

Rafał Malczewski

d. c. n.

Machnął pogardliwie ręką.

— Kobieta studjująca gramatykę opisową, lub majstrująca supereterodyny nie może dobrze odpowiadać na dziennikarskie ankiety.

* * *

Była ładną blondynką. Woniała gerlainem, nosiła włosy a la garçonne i miała szaro-błękitne oczy.

— Jak pani sobie wyobraża wygodę? — zagadnąłem.

— Ach wygodę...

Przygryzłem wargi do krwi. Westchnie czy nie?

Nie westchnęła, natomiast roześmiała się głośno.

— Wygoda mój dobry panie to jest rzecz, na której się obecni ludzie nie znają.

Co innego dawniej w starożytności, kiedy w czasie uczt biesiadnicy odziani w miękkie tuniki leżeli na wygodnych kozetkach nie troszcząc się o to, czy nie mają np. zbyt ciasnych kołnierzyków.

Cywilizacja bynajmniej nie zapewniła ludziom wygody. Nie dbamy w zupełności o komfort. Niech pan sobie wyobrazi jak pięknie wyglądałby świat po przeprowadzeniu pewnych reform.

— Czy wolno zapytać jakich łaskawa pani?

— Mój Boże drobny wysiłek wyobraźni. Rano budzę się ubrana, umyta, uczesana. Połykam pastylkę cudownego smaku zawierającą ekstrakt mych ulubionych potraw. Pieniędzy mam oczywiście w bród.

Idę na przechadzkę. W każdej cukierni (zakładach w których ludzie lubiący spotykać się piją smaczne napoje), kinie, teatrze można się wyciągnąć na miękkich wyściełanych poduszkami otomanach. Ulice zimą oczywiście posiadają centralne ogrzewanie, latem podchodnikowe lodownie utrzymujące temperaturę stale koło 18^0 C.

Pracę wykonuje się przeważnie mechanicznie za pomocą specjalnych aparatów regulowanych jedynie przez specjalistów.

Świat idealny, lenistwa, dobrobytu i wygody!!! —

Wstałem. Ukłoniłem się i odszedłem pośpiesznie.

* * *

Pytam się P. T. czytelniczek vel czytelników, należących do nowego pokolenia i lepiej rozumiejących sprawę, mechanicznego jedzenia i czucia, czy istotnie wygoda może już dziś zastąpić wszystko?

A może trochę ruchu i tężyzny nam by się jeszcze przydało. A może kto napisze do mnie w tej sprawie?

Chociaż... odrobina wygody... leżące kina,... ogrzewane chodniki... ??? ... sybarytyzm XX wieku.

Myślę jak zakończyć feljeton, potępić czy pochwalić moją piękną rozmówczynię.

Wiem, będę wygodny nie skończę go wcale. Niech żyje wygoda i spokój.

Lecz Wy wszyscy, którzy w wygodnych fotelach, wygodnie czytacie, feljetony o wygodzie, powiedzcie proszę czy zawsze wygodnie jest być wygodnym.

Od tych co tak nie myślą oczekuję listów.

Jerzy Lewestam

Dziesięciolecie sportu polskiego

Czy interesujesz się sportem? Czy znasz się na sporcie?... Takich pytań nie wolno dziś stawiać nikomu z młodych, pod grozą narażenia się na szczery, rozgłośny śmiech!... Bo jakżeż?!... Już skrzat z klas niższych z niepokojem wertuje układ tabeli ligowej, entuzjazmuje się „Garbarnią", smuci „Pogonią"... śledzi każdy krok Petkiewicza, a tajemnice sztuczek piłkarskich, hokejowych i t. d. zna chyba lepiej od ... specjalistów z „Przeglądu Sportowego" — pisma, na które ostatnią „trzydziestówkę" wygrzebuje z pustawej kieszeni. Cóż dopiero dostojnik z klas wyższych!... Ten zestawia składy, oblicza, wyrokuje, kombinuje, a jednocześnie trenuje zapamiętale sporty ulubione, — nierzadko dochodząc do wyników pierwszoklasowych, mistrzowskich...

Otóż my wszyscy od 120 cm wzrostu do 2 m wzwyż podzielimy się wspólną, ciekawą nowiną, że w miesiącach bieżących sport polski obchodzi pubileusz dziesięciolecia..., że w całej serji rocznic ,odrodzonych dziedzin życia społecznego — nadchodzi jedna z ostatnich. Czemu to spóźnienie?... Nie wina to sportu ,a bodaj czy nie jego zasługa!... Kiedy z rumowisk wojny światowej wstawała do bytu odrodzona Rzeczpospolita — kraj nasz leżał w ruinie i martwocie. Rozsądek Narodu rzucił go do pracy, przedewszystkiem w kierunku zapewnienia bytu Wskrzeszonej!...

Ze zlepku trzech dzielnic, wyniszczonych, zrabowanych, tworzono całość z administracją, armją, komunikacją, skarbem, wychowaniem jednolitem... Jeszcze w r. 1920 grzmiały działa na ziemiach polskich, a Naród ostatnim rzutem wysiłku rozgramiał wroga! Zapaleni sportowcy rzecz oczywista, przedewszystkiem pełnili swój obowiązek społeczny budowniczych i obrońców Ojczyzny... Na pasję namiętną, na zdrową rozrywkę nie było czasu, ani miejsca!... Dopiero w końcu roku 20, rozproszone gromadki entuzjastów rozpoczynają pracę organizacyjną i treningową, uruchamiają szeroką akcję propagandową, startując do najwspanialszego z biegów ... biegu wszechstronnego postępu, który z miesiąca na miesiąc, z roku na rok, aż do chwili bieżącej jest coraz to nowym wspanialszym rekordem.

Bo zważmy tylko: 1) W dziedzinie inwestycyj w r. 20 boiska (przeważnie tylko piłki nożnej i to nędznawe) liczyło

MŁODOŚĆ

Jest jasna i wesoła, skrzydłami motyla
Lata po łuku tęczy, przysiada na kwiatach,
A czasem się zamyśla i głowę pochyla,
Tak ją gniotą nieliczne, pełne przeżyć lata.

Śmieje się zawsze głośno, rubasznie i szczerze,
A jeśli kiedy płacze, to płacze z uśmiechem.
I wtedy nawet wierzy, gdy mówi: „Nie wierzę!",
I często bywa winą, ale nigdy grzechem!

BOHATEROWIE ŻEROMSKIEGO

W pierwszych dniach mej młodości, Tyś mym bohaterem
Był, piękny Krzysiu Cedro — paziu złotowłosy —
Na polach walki, w krwawych murach Saragossy,
Wszędziem Ci towarzyszył uwielbieniem szczerem.

Tak było, aż do chwili, gdy zbudzone zmysły
Krwi tętnem wzrok przyćmiły, ukazując życie;
Wtedy mnie za ramiona Rafał chwycił skrycie
I pchnął w żar namiętności, aż marzenia prysły!

Jednak to wiem, choć urok w swej mocy mnie trzyma,
Przeminie kiedyś okres szaleństw i upojeń,
A na zmierzchłym ekranie młodzieńczych urojeń
Wykwitnie twarz pobladła Doktora Judyma!

Michał Ochorowicz.

się na dziesiątki. — Dziś niema miasteczka bez boiska, — a kilkadziesiąt miast szczyci się wspaniałemi stadjonami! Na kilkadziesiąt strzelnic w r. 20 — Rok 1930 odpowiada 15.000. Wybudowano kilkanaście basenów setki pływalni otwartych, przystani wioślarskich, schronisk turystycznych, skoczni narciarskich, ... za osobliwe curiosum uchodzi szkoła bez sali gimnastycznej, namnożyło się wiele... (można powiedzieć „bez liku" w sensie dotychczasowego braku statystyki) kortów tennisowych, placów do gier i zabaw, ogrodów dziecięcych i t. d. Jakby na ukoronowanie dziesięciolecia otwarły się kilka miesięcy temu podwoje olbrzymich najwspanialszych w Europie budowli Centralnego Instytutu Wychowania fizycznego, — który 30-miljonowemu narodowi ma dostarczyć kadr instruktorskich.

Również w dziedzinie organizacji ubiegłe dziesięciolecie cechuje niezwykłe tempo! Z chaosu klubików i związeczków wyrosło kilkanaście potężnych, silnych związków państwowych poszczególnych sportów, zrzeszonych w Związku Związków Sportowych, instytucji naczelnej. Związki te obudziły życie sportowe, ujęły je w karby, wyśrubowały wyniki swych reprezentantów do europejskich wyżyn, zatrzęsły masami. Jakże odmiennie wygląda zima 1929/30 roku na Podhalu i w całej Polsce w zestawieniu z r. 19/20. Tysiące narciarzy i łyżwiarzy, setki hokeistów zmienia zupełnie wygląd Zakopanego, Krynicy, Worochty i Wisły, okolic podmiejskich i śródmiejskich Warszawy,, Krakowa, czy Wilna. Jakże wymowne są te dwie liczby Polskiego Związku Piłki Nożnej: R. 20 — 480 graczy zrzeszonych. W r. 29 rozpoczęto rejestrację 25 tysiąca zawodników. W dziedzinie gier sportowych w 3 — 4 latach ubiegłych rozbudzono dziesiątki tysięcy młodzieży szkolnej; bynajmniej nie gorszemi wynikami pracy organizacyjnej poszczycić się może: kolarstwo, pływanie, wioślarstwo, jeździectwo, lekka atletyka, boks, zapasy i t. d., w niezmiernie długim łańcuchu samych nazw.

Tej samorzutnej organizacji społeczeństwa — dzielnie dotrzymuje kroku troska i staranie Państwa. Powołany do życia w r. 1926 przez Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego Pań twowy Urząd Wychowania Fizycznego i Przysposobienia Wojskowego rozpostarł sieć swych komitetów, urzędów i placówek po całym kraju... Komitety wojewódzkie i powiatowe, urzędy okręgowe, pulsujące życiem „ośrodki" w każdem większem mieście, tysiące,... chyba już dziesiątki tysięcy obozów p. w., w. f., kursów, przeszkoleń instruktorskich, budowa wielu inwestycyj, pomoc finansowa i techniczna klubom, związkom, szkołom, samorządom i t. d. oto potężny dorobek dziesięciolecia wysiłku państwa w litanijnem, skrótowem wyliczeniu.

Wynik sportowy, to mniej lub więcej wierny sprawdzian zewnętrzny pracy zrzeszeń. Niema gałęzi sportu, w którejby postęp pod tym względem nie był skokiem rekordowym! W r. 1920 —- sportowcy polscy zrezygnowali z Olimpjady i spełnili przedewszystkiem swój obowiązek na polach bitwy. W r. 1924 już defilujemy w wielkim pochodzie narodów, — ale w skórę bierzemy dotkliwie, z wyjątkiem sukcesów w kolarstwie i, rzecz oczywista, w jeździectwie! W r. 1928 reprezentacja Polski we wspaniałej furji bojowej przedziera się do środka elity narodów, a sztandar Polski, dzięki zwycięstwom Konopackiej i Wierzyńskiego (wymowna wszechstronność!), Skoczylasa, wioślarzy i niezawodnych jeźdźców, — powiewa kilkarotnie na maszcie głównym i bocznych. Tempo postępu wyników, aż do chwili obecnej nic nie traci na sile i napięciu!

Ile drogi przebyto, wystarczy zilustrować kilkoma wynikami: a) lekka atletyka

Skok w dal:	619 cm	w r. 1920
	728 cm	w r. 1929
Rzut kulą:	11,25 cm	w r. 1920
	14,43 cm	w r. 1929
Bieg 5000 m.	18 m. 12,6 s.	w r. 1920
	15 m. 02,6 s.	w r. 1929

b) Pływanie.

100 m. stylem dowolnym

1 m. 28,8 s.	w r. 1923
1 m. 04,6 s.	w r. 1929

c) Piłka nożna.

Najcharakterystyczniejsze wyniki:

0 : 5 z Węgrami	w r. 1924
5 : 0 „	w r. 1929
3 : 1 z Austrją	w r. 1929

Jeżeli dodamy, że rok ubiegły zamknął dziesięciolecie takiemi radosnemi zdarzeniami, jak: triumf reprezentacji Polski nad Czechosłowacją w lekkiej atletyce, Petkiewicza nad Nurmim, zwycięstwa jeźdźców w Ameryce, po raz pierwszy organizacja i pierwszorzędne wyniki Mistrzostw Europy w narciarstwie i wioślarstwie, to bez chełpliwości stwierdzić można, że sport, który ma być nauczycielem energji, tężyzny i postępu, — w ubiegłem dziesięcioleciu tę swoją rolę wychowawczo-nauczającą doskonale spełnił, przodując innym gałęziom życia społecznego w organizacji i szalonem tempie postępu.

Pędzące naprzód życie, niejednego z nas, młodych, wciągnie do wytężonej pracy i w tej dziedzinie życia. Oby autor artykułu w r. 1945 p. t. „Dwudziestopięciolecie sportu polskiego" mógł o nas napisać, żeśmy, nadane przez starszych tempo wytrzymali i ciągnęli dalej w niezmęczonej świetnej formie!".

A. W.

O WIELKOŚCI i UPADKU WENECJI

Dziewne to było miasto i dziwnie żyli jego mieszkańcy. Przed najściem okrutnego wroga schronili się mieszkańcy nabrzeżni na pobliskie wysepki, pobudowali na palach domy ,a później i pałace, stworzyli zaczątek wielkiej potęgi. Miastu powodziło się doskonale. Rozkwit swój zawdzięczało ono znakomitemu położeniu. Przechodziła tędy wielka droga handlowa, wiodąca z Europy na Wschód, do krain Azji. Handel z Azją stał się źródłem bogactw Wenecji. Zyski, osiągane przez odważnych kapitanów okrętów, rzutkich kupców i przebiegłych bankierów, pozwalały zdobić miasto wspaniałemi budowlami, wznosić świątynie, gmachy państwowe, pałace arystokracji.

Czasy wypraw krzyżowych przynoszą Wenecji korzyści niezmierne. Miasto Św. Marka jest w powodzeniu tych wypraw ogromnie zainteresowane. Barbarzyńscy Turcy nietylko gnębią pielgrzymów, zmierzających do Grobu Pańskiego, ale również czynią też wszelkie utrudnienia karawanom handlowym, rujnując podstawy dobrobytu weneckiego. I dlatego praktyczni Wenecjanie łączą uczucia religijne z poczuciem interesu kupieckiego. Będzie im zależało zarówno na wyzwoleniu Ziemi Świętej i Miejsc Świętych z pod jarzma niewiernych, jak i na uzyskaniu możliwości prowadzenia nieprzerwanie handlu z tymi niewiernymi, którzy dla wartości handlu mają większe od Turków zrozumienie.

Wyprawy krzyżowe będą też ważnym etapem w dziejach bogacenia się Wenecji. Bankierzy weneccy pożyczaś będą na wysokie procenty pieniądze monarchom, udającym się na bój do Azji, okręty weneckie przewozić będą rzesze rycerskie, a utworzenie Królestwa Jerozolimskiego umożliwi kupcom weneckim utrzymywanie stosunków ze Wschodem. W tym też czasie Wenecja zaczęła bić własne złote monety, noszące od umieszczonego na nich wizerunku doży (dux) nazwę dukatów.

Jednakże wyprawy krzyżowe zakończyły się klęską chrześcijan, a co gorsze dla Wenecji — nowy wróg w osobie Turków Osmańskich pojawił się na Wschodzie. Upadek Konstantynopola pociągnął za sobą dla Wenecjan nietylko utratę posiadanych wysp na archipelagu, ale postawił ją wobec groźby zatamowania całego handlu ze Wschodem. Główna podstawa potęgi weneckiej mogła ulec zniszczeniu. Od tego też czasu dzieje Wenecji sprowadzają się głównie do zagadnienia walki o wschodnią drogę handlową, co znajduje swój wyraz w polityce weneckiej wobec Turcji.

Nie odrazu zresztą widocznem się stało, że upadek Konstantynopola i powstanie potęgi tureckiej w Europie grozi Wenecji niechybną zagładą. Lew Św. Marka rządził jeszcze wybrzeżami Peloponezu, posiadał Kretę, a w roku 1489 zapanował nad Cyprem. Handel ze Wschodem początkowo nie wydawał się poważnie zagrożony. Przedewszystkiem udało się Wenecjanom pozbyć się niewygodnego konkurenta genueńskiego. Genueńczycy zostali wyparci ze Wschodu, a po roku 1560 utracili wszystkie posiadane ne Wschodzie terytorja. Była to wielka zdobycz dla Wenecji — dawała jej możność wyłącznego panowania na wschodnich drogach handlowych. Do tego udało się Wenecjanom zapomocą zręcznych pertraktacyj z Turkami uzyskać od nich liczne i korzystne przywileje handlowe.

Ale już i wtedy dawały się zauważyć pierwsze oznaki grożącego niebezpieczeństwa. Turcy nieustannie czynili utrudnienia karawanom handlowym, zmierzającym wgłąb Azji, a sami Wenecjanie, żądni zysku, korzystając ze swych monopolów handlowych, nadmiernie podnosili ceny za przywożone z trudem towary wschodnie. To podrożenie towarów sprawiło, że przedsiębiorczy Portugalczycy puścili się na morza, by szukać innych, mniej kosztownych dróg, wiodących do upragnionych Indyj. Napróżno Wenecjanie usiłowali przeszkodzić Portugalczykom i w porozumieniu z sułtanem egipskim starali się wypędzić ich z Oceanu Indyjskiego. Usiłowania te okazały się bezskuteczne. Dlatego też myślano w Wenecji o przekopaniu kawału przez Suez, by znaleźć krótszą drogę do zaklętych krain. Dopiero po kilku stuleciach pięknemu temu marzeniu sądzone było się urzeczywistnić.

Konkurencja portugalska była początkiem nadejścia dni ciężkich. Mówiła ona, że wielkie drogi handlowe z Morza Śródziemnego przeniosą się na oceany i że nie przesławne porty śródziemnomorskie, ale inne, dotąd bardzo mało znane, staną się ogniskami handlu światowego.

Równocześnie i na innym terenie państwo dożów ponosić zacznie porażkę za porażką. Coraz bardziej potężniejące państwo tureckie pocznie wypierać Wenecję ze wschodniej części Morza Śródziemnego. Rozpocznie się okres zajadłych walk turecko-weneckich. W roku 1570 utracą Wenecjanie Cypr, w roku 1669 — Kretę, wreszcie w r. 1719 — resztki swej posiadłości w Morei. Turcja konsekwentnie walczy z Wenecjanami. O ile gotowa była udzielać przywilejów kupcom francuskim, angielskim, holenderskim, o tyle weneccy odsunięci byli od wszelkich łask. Nadaremnie dyplomaci weneccy podsycali wśród państw europejskich ideę walki z Turcją, nadaremnie tak energicznie przyczyniali się do powstawania lig anty-tureckich — korzyści, jakie stąd osiągała Wenecja, były niewielkie i przejściowe. Banderę z lwem Św. Marka wyparto z mórz Lewantu, a nie zdołała ona zapanować nad przestworami Atlantyku.

Do zmienionej sytuacji Republika dostosować się nie umiała. Zdawało się jej przywódcom, że nic zmianie nie uległo, że podawnemu port wenecki posiada monopol na handel adrjatycki. Zachowano olbrzymie cła i opłaty z lat dawnej świetności, a nawet — jako że źródła dochodów wysychały — podnoszono je jeszcze bardziej. Była to polityka błędna. Okręty obce, zamiast, jak dawniej, kierować się do portu weneckiego, zwracały się teraz do innych portów tańszych, jak np. do pobliskich: Ankony i Tryestu. Nawet dla naturalnej swej podstawy gospodarczej — dla Lombardji — Wenecja przestała służyć za port. Zastąpiły ją Livorno i inne, odleglejsze nawet przystanie. Handel portu weneckiego musiał się ograniczyć do wywozu własnych wyrobów i do wwozu tego, co było przenaczone do spożycia na miejscu. A że opłaty wwozowe i wywozowe zmniejszeniu zgoła nie ulegały, więc handel kontrabandowy — jedna z plag życia weneckiego— jeszcze bardziej obniżał dochody państwowe.

Taka dziwaczna polityka gospodarcza wyraźnie świadczyła o głębokiem schorzeniu całego ustroju państwowego Wenecji. Tak też było w istocie! Władza państwowa pozostawała skupiona w rękach niewielu bogatych rodów, myślących wyłącznie o własnych interesach i podporządkowujących im dobro ogółu. Były to rządy oligarchji podejrzliwej, okrutnej, despotycznej. Zwyrodniała moralnie, nie umiała ona zdobyć się na jakąkolwiekbądź śmielszą inicjatywę. Każdy projekt reformy traktowała jako zamach na swe prawa i okrutnie się z projektodawcami rozprawiała. Ustrój państwowy Wenecji zakrzepł, ślepy konserwatyzm nie dopuszczał do zmian, nie dostrzegając, że życie dookoła tak bardzo się zmieniło. Lud bierny, myślący wyłącznie o sprawach osobistych, żywił się resztkami wspaniałości pańskiej i daleki był od prób przeciwstawienia się istniejącemu porządkowi. Duch społeczeństwa zamierał. Śmiała inicjatywa, przedsiębiorczość kupiecka i żołnierska, cechujące dawnych Wenecjan, u ich potomków stały się tylko wspomnieniami. Chęć użycia i zabawy górowała nad wszystkiem. Rzucano pieniędzmi, nie licząc się z tem, że źródła dochodów zwężały się coraz bardziej.

Coprawda zasoby były jeszcze ogromne. Przez długi czas Wenecja była jednym z najważniejszych ośrodków finansowych Europy. Bankierzy weneccy rozporządzali wielkiemi kapitałami, ale stopniowo zostawali oni prześcigani przez współzawodników obcych, jak np. chociażby przez Genueńczyków. I w innych dziedzinach ujawniały się znamiona upadku. Szczyciła się Wenecja swemi rzemiosłami..Zasłużona była sława, którą zdobyli sobie rzemieślnicy weneccy dzięki wysokiemu poziomowi artystycznemu swych wyrobów. Przemysł ten wyrósł z potrzeb zbytku. Wspaniali panowie weneccy, wznosząc przedziwne pałace, zamawiali u majstrów rodzinnego miasta przepiękne wyroby, służące do ozdoby. Wytwarzano więc cudowności z drzewa inkrustowanego — meble. Przemysł tkacki zatrudniał cztery tysiące robotników, wyrabiających makaty, tkaniny, a zwłaszcza słynne koronki weneckie. W wieku XVI wynaleziono czerwień wenecką, która tkaninom weneckim nadawała przepyszną barwę, tak wyróżniającą te tkaniny od innych. Tajemnica wyrobu tej czerwieni była skrzętnie ukrywana w archiwach państwowych, i surowe kary groziły śmiałkom, usiłującym ją zbadać.

A cóż powiedzieć o innych wspaniałych rzemiosłach Wenecji? Więc rozkoszne oprawy książek, więc wyroby warsztatów w Murano, wytwarzających szkła — przedziwne szkła weneckie. Początek wieku XVI przyniósł wynalazek fabrykowania barwnych kryształów; później zaczęto wyrabiać szyby cienkie i przezroczyste, takie, jakich my po dziś dzień używamy.

Ale to rzemiosło weneckie, podobnie jak i handel morski, niezdolnem się okazało do przezwyciężenia coraz potężniejszego współzawodnictwa obcych. Nie udało mu się utrzymać swych tajemnic. Stopniowo znajdowały się one w posiadaniu obcych. Pewien rzemieślnik wenecki, osiadły w Pradze, stał się twórcą czeskiego przemysłu szklanego i fabrykacji kryształów. Francja zaczęła wyrabiać tkaniny nie gorsze od weneckich. A do tego upadek moralny całego społeczeństwa zaciążył i na rzemieślnikach weneckich. Cechy weneckie, zamknięte w sobie, żyjące rutyną, wrogo odnosiły się do wszelkich nowinek. Wielkie podatki, spadające na rzemiosło i tak już zagrożone przez współzawodnictwo zagranicy, podcinały jego podstawy. Wielki patrycjat wenecki wolał nieproduktywnie lokować swe kapitały w pałacach i parkach, niż poświęcać je przemysłowi. Pozbawiony dopływu kapitałów, gnębiony przez podatki, zagrożony przez konkurencję obcych, krępowany uciążliwemi przepisami cechowemi, przemysł wenecki gasł. Jak w handlu, tak i tu zabrakło śmiałej inicjatywy, zabrakło ducha do walki z przeciwieństwami. Państwo i społeczeństwo wyrodniały, wyrodniała praca społeczeństwa.

W wieku XVIII piękne miasto przestało być ośrodkiem pracy, stając się ośrodkiem zabaw i przyjemności. Nie ściągało już kupców i przemysłowców, lecz wielojęzyczne rzesze próżniacze, które w wirze zabaw karnawału weneckiego przepuszczały tu przywiezione pieniądze. To stało się głównem źródłem dochodów państwowych.

Miasto samo liczyło jeszcze 140 tysięcy mieszkańców i rozciągało swe rządy nad trzymiljonową ludnością. Lecz była to już potęga umierająca. Lenistwo i zwyrodnienie sfer rządzących ,obojętność ludu, brak śmiałej inicjatywy, brak woli do życia — oto były objawy śmiertelnej choroby. Chwila końca była już blizka. Pokój w Campo-Formio (1797), godząc zwycięską Francję z Austrją, uczynił z Wenecji ofiarę tej ugody. Dumne miasto Św. Marka przestało być samodzielnem państwem. Zamiast sztandaru ze lwem powiewać zaczęły nad niem trójkolorowe flagi jednej i niepodzielnej Republiki Francuskiej.

A. H.

WIERZ LUB NIE WIERZ

Największy kłamca XX wieku. Bajki z życia rzeczywistego. Fantastyczna biografja. Niewiarygodne honorarjum. „Uniwersalny reporter".

Amerykanie są łatwowierni jak dzieci, lecz i oni nie chcą wierzyć temu wszystkiemu, co im codziennie, w setce bez mała gazet opowiada Robert Ripley, lub Rip, jak go poufale nazywają na przestrzeni od new-yorskiego Broadway'u, aż do najgłuchszej wsi w stanie Luiziana. Rip — jest niewątpliwie baronem Münhausenem naszych czasów; od swego prototypu różni się on tem, iż nie komponuje nieprawdopodobnych „bujd", lecz opowiada jedynie nieprawdopodobną prawdę, wziętą z rzeczywistości. Wyszukuje on fakty, które zdają się być nieprawdopodobnemi i fantastycznemi — i nic w nich nie zmieniając, bez żadnej „okrasy" przedstawia je czytelniczkom i czytelnikom trustu dziennikarskiego, wydającego przeszło sto perjodycznych wydawnictw pod dobrze znanym każdemu amerykaninowi tytu-

łem „Believe it or not". Wierz lub nie wierz! Miljony kobiet i mężczyzn czytają artykuły swego ulubieńca Ripa, kiwają głową, nie widzą, czy mają wierzyć, klną często pod jego adresem, nazywają go największym kłamcą, jakiego kiedykolwiek nosiła matka-ziemia — i z niecierpliwością oczekują, co im Rip opowie następnego dnia. Dziennikarz Rip otrzymuje codzień stosy listów, które, jego trzej sekretarze ledwie zdążą przeczytać. Niektórzy czytelnicy, zwracający się bezpośrednio do Ripa, są oburzeni z powodu jego znęcania się nad zdrowym rozsądkiem i wykazują nieprawdopodobieństwo wszystkich jego opowiadań, druga kategorja korespondentów ofiaruje mu swoje usługi — i dołącza do listów — próbki swej twórczości; wreszcie trzecia kategorja korespondentów, którą się on naprawdę interesuje, opowiada rzeczywiste, choć z pozoru zupełnie nieprawdopodobne zdarzenia ,które miały miejsce w dokładnie oznaczonym miejscu i czasie. Biuro Ripa (ma on bowiem w New-Yorku duże biuro z wielką ilością pracowników) natychmiast sprawdza, czy przytoczone fakty nie zostały zmyślone, zwracając się do miejscowych władz lub do redakcji miejscowej gazety. W wypadkach szczególnie interesujących Rip wysyła swego agenta. Częściej jednak czyni to jego zastępca, gdyż sam Rip dobre osiem miesięcy w roku spędza w podróżach i posiłkując się wszystkiemi środkami komunikacji wędruje z jednej części świata do drugiej. Wszędzie zresztą ma on swych przyjaciół, do których się często zwraca, gdy zachodzi potrzeba skontrolowania jakiegoś faktu. Tak więc Rip posiada ogromny zapas faktów, wydających się nieprawdopodobnemi, które zebrał podczas swoich długich wędrówek po świecie. Gdyby jednak ten zapas, który starczy na całe lata, nagle się wyczerpał, to i wówczas Ripley nie będzie się martwił; kilka bowiem osób z jego personelu przesiaduje całemi dniami w bibljotekach i penetruje stare archiwa — poszukując niezwykłych faktów.

* * *

O czem zatem opowiada Rip na szpaltach dzienników? Bardzo wiele o tajemniczem życiu hinduskich fakirów. Jeden z fakirów już od 18 lat leży na gwoździach; inny już dwudziesty rok trzyma nad głową skrzyżowane ręce. Opowiada on dalej o drzewach, które duszą ludzi; o latających żmijach, które polują na ptaki; o rybach, które ciemną nocą wdrapują się na urwisty brzeg. Rip zapewnia, że istnieję nie mniej niż 4.000 sposobów napisania nazwiska Szekspira „Shakespeare"; że P. Loti w życiu swojem nie przeczytał ani jednej książki, że Kolumb aż do chwili śmierci nie miał pojęcia o Ameryce, że patrycjusz rzymski Heronimus miał 21 żon, przyczem jego dwudziesta pierwsza żona miała przed nim 20-u mężów; że dwaj norwegowie w r. 1893 przepłynęli w łódce ocean Atlantycki. Rip nie wymyśla, nie fantazjuje. Tylko w rzadkich wypadkach pozwala on sobie, w formie żartu na odstąpienie od prawdy na lekką przesadę — np. wtedy, gdy mówi, iż P. Loti w życiu swojem nie przeczytał ani jednej książki. Lecz prawie zawsze trzyma się on ściśle cyfr i faktów. Niektóre z podanych przez niego wiadomości budzą na pierwszy rzut oka poważne wątpliwości — lecz Rip nieobawia się nawet najsurowszej kontroli i bije sceptyków nieodpartemi argumentami. Ma on zawsze rację. Racja jest po jego stronie nawet wtedy, gdy zapewnia, iż gdyby wszyscy Chińczycy rozpoczęli marsz ustawiwszy się w kolumnie czwórkowej, to pochód ten nigdyby się nie skończył, gdyż przyrost naturalny przewyższa w Chinach śmiertelność.

Kiedy Amerykanie uroczyście witali bohaterskiego zdobywcę Atlantyku — Lindberga, Rip w swojem kolejnem „wierz lub nie wierz" oświadczył spokojnie, iż Lindberg — jest sześćdziesiątym piątym z rzędu człowiekiem, który dokonał przelotu ponad oceanem Atlantyckim. Oburzeni czytelnicy zasypali go lawiną protestujących listów: rzecz bowiem zakrawała na jawne i oczywiste kłamstwo! Tym razem Rip odstąpił od swojej zasady, polegającej na niedawaniu bliższych wyjaśnień o podawanych przezeń zdarzeniach. W swoim następnym feljotonie napisał on jako post-scriptum, następujące słowa: ..Do Lindberga przez ocean przeleciały dwa statki powietrzne: na pierwszym znajdowały się 33 osoby, na drugim zaś 31. Tak więc przed Lindbergiem przepłynęły ponad oceanem 64 osoby; oczywiste więc jest, iż Lindberg był sześćdziesiątym piątym". Sam Lindberg śmiał się serdecznie z tej prawdy-fałszu i złożył Ripowi wizytę. A nazajutrz Rip pisał, że Lindberg i jego czyn — to coś najbardziej nieprawdopodobnego i fantastycznego.

* * *

Niedawno Ripley udzielił wywiadu jednemu new-yorskiemu dziennikarzowi i opowiedział mu historję swego życia. Opowiadanie to śmiało mogołby figurować pod nagłówkiem „wierz lub nie wierz" według słów Ripa, pochodzi on z jakiegoś półdzikiego plemienia, osiadłego nad brzegiem Ohio. Ojciec jego już jako chłopiec 14-letni przepływał tę wielką rzekę podczas największego nasilenia wiosennej powodzi, matka urodziła się w szałasie koczowników, dziadek przewędrował piechotą całą południową i północną Amerykę. Rip czuje się włóczęgą z urodzenia, i kiedy umrze, życzy sobie, by nad jego mogiłą wyryto słowa „Tu leży włóczęga — z dziada, pradziada".

Rip zwiedził 64 kraje, rozmawia 14 językami, brał udział w 17 ekspedycjach; był na audjencji u ostatniego bogdy-chana; złożył wizytę dalej-lamie; oglądał skarby hinduskich maharadżów; był jeńcem kannibalskiego plemienia, obrano go na króla w stolicy jednego z plemion afrykańskich Centralnej Afryki; trzy dni spędził na Lodowatym oceanie płynąc na krze lodowej w towarzystwie białych niedźwiedzi ;spuścił w krater Wezuwjusza zołty, wysadzany brylantami zegarek — dar nygusa abisyńskiego; przepłynął w łódce Njagarę; otrzymał od kedywa egipskiego koncesję na sprzedaż jednego ze sfinksów i t. d. i t. d. Wierz lub nie wierz! Wszystko to Rip opowiada tylko w czasie prywatnych rozmów, podczas których jego münhauseńska fantazja ma najzupełniejszą swobodę. Na szpaltach gazet zaś operuje on tylko i wyłącznie faktami, zaczerpniętemi z realnego życia. Rubryka „Wierz lub nie wierz cieszy się kolosalnem powodzeniem, w związku z czem Rip otrzymuje honorarjum tak wielkie ,iż pozazdrościć mu mogą nietylko koryfeusze europejskiej literatury, lecz i sam Edgar Wallace, król powieści detektywnej. Rip, według kontraktu, zawartego na trzy lata, otrzymuje rocznie od swego trustu dziennikarskiego honorajum, wynoszące 300.000 dolarów. Rip jest jednym z najpopularniejszych ludzi w Nowym Świecie. Otrzymuje on więcej listów, niż znakomite artystki filmowe i ma tysiące wielbicieli i naśladowców. Jest on zawsze pożądanym gościem na wszystkich matchach, bankietach. Starają go się przeciągnąć na swoją stronę najbogatsze dzienniki amerykańskie. Rip wszystko widzi, o wszystkiem wie i wszędzie dociera. Ma on zaledwie 36 lat i długo jeszcze będzie opowiadał Amerykanom prawdę-kłamstwo, bajki z życia rzeczywistego, które w naszych czasach mają bardziej fantastyczny charakter, niż prawdziwe bajki.

Takim jest Robert Ripley, baron Münhausen XX wieku, nazywający samego siebie „uniwersalnym reporterem".

L. Ron.

Z PRZYRODY I TECHNIKI.

MISCELLANEA TECHNICZNE

„Idą czasy, których znamieniem będzie wyścig pracy..." oto słowa Marszałka Piłsudskiego, które prędzej doczekały się realizacji, aniżeli się tego spodziewano. Jesteśmy świadkami niebywałego w dziejach ludzkości wyścigu pracy, wyścigu twórczej myśli ludzkiej. Na każdem polu techniki i nauki dokonują się postępy tak raptowne, że noszą raczej cechę przewrotu, aniżeli zwykłej powolnej ewolucji.

W technice na czoło badań i doświadczeń wysuwają się dwa zagadnienia zajmujące umysły uczonych i inżynierów, mianowicie zagadnienia teletechniczne, oraz zagadnienie zdobycia przestrzeni kosmicznej.

W dziedzinie techniki problem przesyłania obrazów filmowych, a nawet obrazów wziętych wprost z życia, za pośrednictwem fal elektromagnetycznych, możemy uważać zasadniczo za rozwiązany. Aparaty telewizyjne Bairda, Michaly'ego i Karolusa dają coprawda na stacji odbiorczej obrazy bardzo maleńkie i jeszcze stosunkowo niewyraźne, niemniej pednak wykazały, że dalszy postęp techniki niewątpliwie umożliwi szerokim warstwom społecznym korzystanie z telewizji, tak jak obecnie korzystamy z audycyj radjowych.

Rozpoczęto już nawet usiłowania nad realizacją telewizji barwnej. Podobnie, jak to miało miejsce przy fotografji barwnej, należało w tym celu dokonać rozkładu obrazów na barwy zasadnicze, mianowicie czer-

woną, żółto-zieloną oraz niebieską. Przy fotografji stało się to możliwe z chwilą spreparowania takich emulsji płyt fotograficznych, które reagują na wszystkie barwy tęczy.

Podobnie przedstawia się sprawa przy telewizji barwnej. Rolę emulsji fotograficznej zastępuje w tym wypadku komórka światłoczuła, zamieniająca impulsy świetlne na impulsy eteryczne. Nowe fotocele skonstruowane przez R. Stolpina oraz R. Stillwilla reagują na wszystkie barwy tęczy. Przy aparacie nadawczym telewizji barwnej znajdują się więc trzy grupy komórek reagujące zapomocą filtrów świetlnych na jedną tylko barwę zasadniczą. Na stacji odbiorczej rzutuje się wszystkie trzy rodzaje plam świetlnych ,tworzące obraz, na jeden ekran i otrzymuje się obraz w barwach naturalnych.

Chwilowo stacja nadawcza i stacja odbiorcza połączone są przewodnikami, czyli telewizja barwna odbywa się jeszcze „z drutem". Telewizja barwna za pośrednictwem fal elektromagnetycznych nastręcza jeszcze pewne trudności.

Ostatnio zastosowano w Niemczech fultografję w lotnictwie. Przy lotach dalekodystansowych lotnik nie zawsze może być poinformowany zgóry, jaka czeka go pogoda na drodze do celu. Mała mapka meteorologiczna przesłana przez radjo, więcej mu wyjaśni i lepiej go poinformuje, aniżeli najdokładniejsze biuletyny o pogodzie. Lotnik odrazu może się zorjentować, jakie prądy powietrzne powinien ominąć, a jakie może wykorzystać. Najrozmaitsze dziedziny życia korzystają więc ze zdobyczy techniki, a pierwsi pionierzy telewizji nie przypuszczali zapewne, że prace ich znajdą zastosowanie w orlej sztuce podniebnych lotów.

Po zdobyciu przestrzeni atmosferycznej genjusz ludzki szykuje się do podboju przestrzeni międzyplanetarnej. Zagadnienie podróży kosmicznych od kilku lat przeszłego stulecia, a więc wtedy, kiedy, aeronautyka wyszła zaledwie ze stadjum przygotowawczego, pracował Herman Ganswindt nad pomysłem wehikuła przestrzennego, który miał się poruszać zapomocą bezwładnej reakcji, czyli tak zwanych odrzutów wybuchów gazowych.

Od początku naszego stulecia sprawą tą zajmuje się uczony rosyjski Ziółkowski, a w danej chwili nad realizacją rakiety do przebycia przestrzeni międzyplanetarnych pracują Goddard w Ameryce, Esnault-Pelterie we Francji, a w Niemczech Oberth, Valier, Opel, Hoeft, Hohmann i szereg mniej wybitnych wynalazców.

Profesor Oberth zapowiedział na najbliższe tygodnie start bezosobowej rakiety do wysokości kilkuset kilometrów. Zdaniem Obertha lata najbliższe przyniosą nam realizację tak zwanych rakiet pocztowych, bezosobowych. Rakiety takie poruszałyby się przy starcie pod wpływem stałych wybuchów mas eksplozyjnych, a osiągnąwszy prędkość ośmiu kilometrów na godzinę, krążyłyby następnie tylko pod wpływem nabytego pędu oraz przyciągania Ziemi, jak nowy, sztuczny Księżyc dookoła naszego globu. Oczywiście mechanizm automatyczny przerwałby owe krążenie w odpowiedniej chwili i zmusiłby rakietę do lądowania za porśednictwem spadochronów. W ten sposób poczta zostałaby w ciągu kilkudziesięciu minut dostarczona z Europy do Ameryki.

Dopiero po nabyciu doświadczeń z bezosobowemi rakietami rozpoczętoby pierwsze próby lotów z rakietami kierowanemi przez nowych Ikarów przestrzeni kosmicznej. Możnaby następnie, osiągając coraz większe chyżości przy starcie ,dotrzeć do coraz dalszych regjonów pozaziemskich, aż wreszcie odważonoby się na pierwszą naprawdę kosmiczną podróż dookoła Księżyca.

W roku bieżącym otrzymał Oberth od „Société Astronomique de France" nagrodę Roberta Esnault-Pelterie i Hirscha. Odznaczenie to jest najlepszą poręką, że napozór fantastyczne projekty podboju światów kosmicznych znalazły w osobie Obertha patrona - uczonego wielkiej miary, zdolnego do urzeczywistnienia pomysłów, uważanych niedawno jeszcze za utopje.

Trudno wprost przewidzieć, jak wielki nastąpi przewrót w stosunkach ludzkich wówczas, gdy rakietowe wehikuły dotrą do Marsa i Wenus i pozwolą nam już bez pomocy lunet oglądać obce światy planetarne.

dr. F. Burdecki

Ze świata książek

Jan Wiktor: Srogi pies i sentymentalny zając.

Wśród psychologicznych powieści doby współczesnej książka Jana Wiktora zajmuje poczesne miejsce, reprezentując samotnie jedną z gałęzi psychologji stworzeń żywych, a mianowicie zwierząt. Wstępując w ślady Adolfa Dygasińskiego ukazuje nam autor postacie mieszkańców lasu i podwórza. Zajmuje jednak inne stanowisko, niż jego poprzednik, zamiast, jak to czyni Dygasiński, rozpatrywać życie i czyny naszych kudłatych i pierzastych sąsiadów, a często i przyjaciół, z punktu widzenia ludzkiego rozumu, utożsamia się z bohaterami powieści i sądzi postępowanie człowieka posługując się spostrzeżeniami i zgodnym z naturą instynktem zwierząt.

Z podziwu godną subtelnością i prostotą ukazuje nam autor smutne dzieje zająca Kubusia, który po stracie matki, zabitej przez jastrzębia, dostał się do domu młodego chłopca i tam wychował się ,aby następnie zginąć tragicznie w paszczy psa Komornika, zazdrosnego o miłość, jaką człowiek, pan obu bohaterów czuł do Kubusia.

Bardzo ciekawe jest również to, że ludzie w powieści Wiktora ograniczeni są niemal do ról statystów. Wiemy, że są, bo obecność ich wpływa na przebieg akcji, a jednak usunięto ich tak umiejętnie na dalszy plan, że nie zasłaniają czytelnikowi, obrazu czworonożnych bohaterów powieści. Możemy więc bez przeszkód obserwować każdy ich czyn, każde drgnienie ich, jakże często cierpiącej, duszy — bo zwierzęta naszego autora mają duszę, aby uświadomić sobie wreszcie, że te proste indywidualności są bardzo zajmujące i bliskie nam. Nic też dziwnego, że potrafi wzbudzić w nas tyle współczucia śmierć „sentymentalnego" zająca i bezgraniczne przywiązanie bezdomnego psa Komornika i, że zawsze odtąd nie z litością, ale ze współczuciem będziemy słuchać o niedoli naszych dobrych przyjaciół — zwierząt.

Kornel Makuszyński: O dwóch takich, co ukradli księżyc.

Znany jest wszystkim niezwykły wprost humor Makuszyńskiego, który pozwala mu nawet w smutnych momentach wywoływać uśmiech na twarze czytających. Doskonałym przykładem takiej właśnie smutnej i głęboko uczuciowej powieści jest jego ostatni utwór p. t. „O dwóch takich, co ukradli księżyc".

Można się nad tą książką popłakać, bo jest w niej tyle szczerego sentymentu i taka rzewna, wszystko zwyciężająca, miłość matczyna, że nawet zatwardziałemu recenzentowi, który, ją czytał z obowiązku, aby wam, Kochani Czytelnicy, napisać o niej te kilka słów, nawet jemu, powiadam, łzy się w oczach kręciły. A za chwilę już się człowiek śmieje do rozpuku, czytając, jak to filozof Patałłach dwa tygodnie myślał nad tem, co ma zrobić, żeby zobaczyć co jest z tyłu za nim, lub co się działo w mieście Zapiecku, gdzie ujrzeli światło dzienne bohaterowie powieści Jacek i Placek.

Oprócz zwykłego humoru jest w tej książce jeszcze i coś innego, co wywołuje wesołość w najsmutniejszym nawet czytelniku. Ten drugi rodzaj komizmu polega na tem, że autor zupełnie nie liczy się z rzeczywistością. Jak już sam tytuł wskazuje Jacek i Placek ukradli księżyc. Jak oni to zrobili?— zapytacie. Ano, w najprostszy sposób. Zastawili sak w jeziorze, w którem księżyc sypiał i kiedy ten ostatni zanurzył się do wody zamknęli sak i zabrali schwytany księżyc — ot, i wszystko! Ten właśnie realizm rzeczy i zdarzeń niemożliwych jest wielką ozdobą powieści Makuszyńskiego. Stawia ją na pograniczu bajki i powieści, prozy i najbardziej rozfalowanej w przestrzeń poezji, pozwala ją czytać zarówno małym dzieciom, jak i ludziom dorosłym.

Jakie to dziwne prawo, myślimy sobie, pozwala autorowi chodząc po ziemi być za pan brat z gwiazdami i księżycem? Jakie to uczucie pozwala mu opowiadać smutne zdarzenia życia z dobrotliwym uśmiechem przebaczenia dla winowajców, a pociechy dla nieszczęśliwych? — A to wszystko sprawiło

dobre serce autora, bo u Makuszyńskiego nawet srogi kapitan zbójców Brodacz tylko udaje okrutnego.

Czemże więc to wszystko wytłomaczyć? — Najprościej chyba słowami samego autora, które wkłada w usta zbója Łapiducha: „Zetnij głowę, zedrzyj skórę, lecz już taką mam naturę!“.

Mik.

O wszystkiem potrosze

„WAGABUNDZI“ Z AMERYKI.

Przysłowiowa przedsiębiorczość amerykanów, niepozwalająca im nigdy ulegać zniechęceniom życiowym, objawia się w tej rasie zazwyczaj już od najmłodszych lat. Typowemi pod tym względem przykładami mogą być chociażby: Tomasz Edison, który swą wielką karjerę rozpoczął jako chłopak do posług, b. prezydent Stanów Zjednoczonych Roosevelt, który w młodości sprzedawał na ulicy pomarańcze, lub obecny ambasador amerykański w Polsce, p. Moore, który również w dzieciństwie był zwykłym „gazeciarzem" ulicznym. Właśnie co do owych małych „gazeciarzy“ jest teraz do zanotowania ciekawy fakt. Przed niedawnym czasem wydano w Stanach Zjednoczonych zakaz sprzedawania gazet po ulicach przez niepełnoletnich, wychodząc z założenia, że ulica demoralizuje młodzież i zbyt często prowadzi ją na manowce. Był to oczywiście cios dla „gazeciarzy", którzy dotychczas korzystali z pełnej swobody, mieli nawet swe „związki", kluby i t. d. Gdy odebrano im ten sposób zarobkowania, nie poddali się jednak, lecz wzięli się do innego zawodu. Oto kilkudziesięciu takich chłopców, w wieku około 15-u lat, utworzyło zespół pod nazwą „nowojorskich wagabundów“ (New-Yorker Vagabonds), który postanowił objechać świat z własnego układu i pomysłu produkcjami artystycznemi. Jest to więc zespół, który urządza koncerty na instrumentach, właściwych każdemu małemu ulicznikowi, t. j. na harmonijkach ustnych. Występy ich w wielkich centrach Europy, jak w Londynie, Berlinie i Paryżu, wywołują olbrzymią sensację i zachwyt. Nowy Rok spędzili „wagabundzi" u swojego „starszego kolegi“, ambasadora Stanów Zjednoczonych w Paryżu, p. Eolge, który w młodości był także takim samym ulicznym „gazeciarzem" i chlubiąc się tem, do dnia dzisiejszego jest nawet członkiem honorowym jednego z młodocianych „klubów“ sprzedawców gazetowych pod nazwą „Atlantic - City“.

FOTOKARABIN MASZYNOWY.

Karabin maszynowy, który nie strzela, lecz fotografuje, oto najnowszy wynalazek, wprowadzany obecnie przez kilka państw dla pokojowych ćwiczeń w armji. Karabin taki posiada normalną wielkość, ciężar i konstrukcję, z tą tylko różnicą, że w miejsce komory ładunkowej wbudowaną ma maleńką kamerę fotograficzną o niezmiernie ostrym objektywie, przez którą przesuwa się celuloidowa taśma filmowa, biegnąca za naciśnięciem cyngla w taki sam automatyczny sposób, jak w „normalnym" karabinie maszynowym biegnie taśma z nabojami. Za naciśnięciem cyngla więc fotokarabin maszynowy, zamiast oddawania szeregu strzałów, notuje na taśmie fotograficznej szereg miejsc, w które te strzały miałyby trafić, dając w ten sposób najdokładniejszy obraz celności nastawienia. Dla szkolenia wojska ma to ogromne znaczenie.

„SŁODKIE“ DJAMENTY.

Djament jest, jak wiadomo, węglem w postaci krystalicznej. Znany oddawna sposób krystalizacji węgla w wielkich masach płynnego żelaziwa nie miał dotychczas praktycznego znaczenia, gdyż jest zbyt kosztowny, a djamenty ,otrzymane w drodze długiego rozpuszczenia żelaza w kwasie solnym, są bardzo drobne i nie opłacają produkcji. Obecnie prof. J. Milrad Hershey z uniwersytetu w Kansas wynalazł metodę otrzymywania djamentów z cukru, który jak wiadomo, jest związkiem węgla, t. zw. węglowodanem. Otrzymane kamienie są wprawdzie bardzo małe, ale dla techniki może to mieć olbrzymie znaczenie, gdyż metoda jest łatwa, a co najważniejsze, — tania. Wynalazca twierdzi, że drobne ulepszenia jego metody pozwolą otrzymać djamenty prawie dowolnej wielkości. Twierdzenie jego należy oczywiście brać z poważnemi zastrzeżeniami. Gdyby się jednak miało sprawdzić stanowiłoby to całkowity przewrót w handlu djamentami.

GALERY KALLIGULI.

Nieopodal od prastarej „Via Apia“, łączącej Rzym z Brundisium, dalej zaś przez Adrjatyk — z Grecją, o kilkanaście kilometrów od murów stolicy antycznego świata, wśród wulkanicznych wzgórz gór Albańskich znajdowało się do niedawna, słynne z przepięknego otoczenia i rozległego widoku jezioro Nemi, wypełniające swemi wodami jeden z kraterów wygasłego dawno wulkanu.

Już w zamierzchłej starożytności oceniono urok tego pięknego zakątka i w nadbrzeżnym lesie zbudowano świątynkę Djany, a w czasach późniejszych — willę wypoczynkową dla władców Rzymu. Z południowych stoków dawnego krateru rozciągał się widok na leżącą w dole taflę wody, otoczoną dębowym lasem, miasteczko Nemi, przyczepione do przeciwległego stromego brzegu, jak gniazdo orła, a niżej — rozległą, płaską Kampanję, gubiącą się niewyraźną linją w błękitnych falach morza i Rzym, ślący ku niemu krętą smugę Tybru.

Miejsce to szczególnie upodobał sobie cesarz Kalligula, tyran i hulaka, któremu nawet późniejszy Neron w okrucieństwach i rozpuście dorównać nie potrafił; z rozkazu jego zbudowano dwie galery znacznych rozmiarów, spuszczono je na wodę i urządzono z wielkim przepychem, by znudzonemu życiem władcy służyły za nowe miejsce zabaw i uczt. Po Kalliguli, prócz złej pamięci ludzkiej, która go głośnym uczyniła, dawno już wszelki ślad zaginął, galery pokryły wody jeziora ,a nad jego gładką taflą przez długie wieki ,aż do naszych czasów unosiła się tajemnicza, pociągająca legenda o nieprzebranych skarbach, które wraz ze statkami pochłonęła ciemna toń. To też już przed setkami lat, bo w XV stuleciu, bogacz kardynał Colonna, zostawszy panem starożytnej willi cesarskiej, na której miejscu wznosi się dziś „Palacco Cesarini", wspomagany przez znakomitego artystę i arcihtekta Alberti'ego rozpoczął prace, mające na celu podniesienie zatopionych galer, jednak wobec niedostateczności środków technicznych prace te pozostały bez rezultatu. Legenda żyła jednak ciągle i nie dawała spokoju archeologom. W latach 1895/6 wznowiono poszukiwania ,tym razem posługując się nurkami, którzy zdołali wydostać z dna jeziora przedmioty, świadczące o nader bogatem i artystycznem wyposażeniu cesarskich statków. Na mocy ich relacyj powstała, zbyt jak się później okazało ryzykowna ,teorja, w myśl której na dnie jeziora miały się znajdować pontony, dźwigające platformę z nadbudówką. Przypuszczano, iż kiedyś zapomocą pomostu łączyły się one z lądem a prawdopodobnie wskutek trzęsienia ziemi zostały odeń oderwane i zatopione w wodach jeziora.

Z inicjatywy Mussoliniego i słynnych archeologów rzymskich, w nadziei zdobycia legendarnych skarbów, podjęte przed dwoma mniejwięcej laty prace, mające na celu usunięcie z jeziora wody, do czego użyto dzieła dawnych inżynierów rzymskich. W czasach starożytnych mianowicie Rzymianie zbudowali kanał odpływowy, mający odprowadzać nadmierną w porze deszczowej ilość wody z jeziora Nemi do niżej leżącego i znacznie większego jeziora Albańskiego; chodziło im o ochronienie przed powodzią sadów, leżących na tarasowych zboczach dawnego krateru. Po półtorarocznej pracy, polegającej na wypompowywaniu zapomocą olbrzymich pomp wody z jeziora do owego kanału, zniżono poziom jej o tyle, że jeden ze statków został całkowicie odsłonięty. Niestety z dawnej wspaniałości galer niewiele zostało: przez 19 stuleci działająca woda zniszczyła kadłuby i pomosty ,a pozostawiła jedynie spiżowe gołwy zwierzęce — dzieła niebylejakich mistrzów, które stanowiły ozdobne zakończenia belek. Legendarnych skarbów... ani śladu.

Jak na ogromny nakład pracy i miljonowe koszty jest to wynik stanowczo zbyt skromny, zwłaszcza że jezioro Nemi — jeden z najpiękniejszych naturalnych zabytków starożytnego Rzymu straciło cały swój urok. Dziś może ono stanowić tylko muzeum, gdyż statków Kalliguli nie można przewieźć na jakieś inne miejsce; przegniłe, zmurszałe drzewo nie wytrzymałoby transportu „Zwierciadło Djany“ okala brzydka, czarna rama, bowiem opadający poziom owdy odsłonił dolną część dawnego krateru. A jeżeli nawet przewiezienie galer, do któregoś z rzymskich muzeów udałoby się, w co wątpić należy, to podniesienie wody w jeziorze do dawnego poziomu celem przywrócenia mu zrabowanego piękna, pochłonęłoby nowe miljony.

PŁYWAJĄCE FABRYKI.

Dalekomorskie rybołóstwo ma na celu przedewszystkiem połów ryb, które po osoleniu, wysuszeniu, uwędzeniu lub przerobieniu na konserwy, rozchodzą się po całym świecie, wszędzie niemal znajdując, jako pożywny pokarm, chętnych nabywców. Podczas procesu takiego czy innego konserwowania ryb i przy połowach otrzymuje się również szereg produktów, nie-

zdatnych do celów spożywczych, przedewszystkiem odpadków (głowy, wnętrzności i t. p.) oraz ryb i innych stworzeń morskich, które, choć trafiają do rybackiej sieci, nie mogą służyć za pokarm. Ze wszystkich tych odpadków otrzymuje się mączkę rybną, stanowiącą ceniony pokarm dla bydła, lub w gorszych gatunkach wysokowartościowy nawóz sztuczny fosforowo-azotowy, dalej tran techniczny. Fabryki tych produktów znajdują się zazwyczaj w portach rybackich, przyczem rentują się dobrze tylko zakłady wielkie, wytwarzające masowo. Ponieważ jednak połowy odbywają się najczęściej wzdłuż brzegów o znacznej rozciągłości lub też zdala od większych portów — trudno jest z dostarczaniem, szybko psującego się, surowca. Powstał wobec tego projekt, zrealizowany niedawno przez Norwegów, polegający na urządzeniu wielkiej fabryki-okrętu, przerabiającej produkty odpadkowe podczas jazdy. Okręt taki posiada specjalne przyrządy do ładowania, laboratorjum chemiczne dla badania surowca i gotowych produktów, aparaturę dezynfekującą i suszarnię, maszyny do mielenia i sortowania mączki, oraz automatycznego ładowania jej w worki. Przy produkcji stosuje się najnowsze i najkorzystniejsze metody.

Druga pływająca fabryka przeznaczona jest wyłącznie dla przerabiania mięsa wielorybów. Dotychczas statki wielorybnicze zadawalniały się jedynie uzyskaniem tranu (do 20.000 kg z jednego wieloryba!!), zaś ogromne masy mięsa wyrzucały za burtę. Na nowoczesnym statku wielorybniczym zainstalowano nietylko przyrządy do otrzymywania tranu, lecz również takie, — które umożliwiły konserwowanie mięsa tych ogromnych ssaków dla celów spożywczych oraz przerabianie odpadków na pokarm dla zwierząt.

WALKA O CENY KAWY.

Największym producentem kawy na świecie, pokrywającym około 65% ogólnego zapotrzebowania jest Brazylja. Pomyślność gospodarcza tego kraju w znacznym stopniu uzależniona jest od zbioru kawy i od jej ceny. Nic więc dziwnego, że w Brazylji istnieje, już prawie od 2 dziesięcioleci, napół państwowa instytucja mająca na celu regulowanie handlu kawą, przejmowanie corocznego zbioru i wywożenie go na możliwie korzystnych warunkach. Niedawno instytucja ta otrzymała pięknobrzmiącą nazwę „Obrona" („La Difesa"). Długoletnia działalność owej „Obrony", dzięki której ceny kawy na rynkach światowych stały od szeregu lat na wysokim poziomie, spowodowała znaczny wzrost powierzchni plantacyj kawowych nietylko w samej Brazylji, lecz również w innych krajach, które nie mając interesu w utrzymywaniu zbyt wysokich cen z łatwością sprzedawały kawę dawniej wyłącznym niemal odbiorcom Brazylji. Spowodowało to w tym ostatnim kraju wzrost zapasów, aż do ilości 16 miljonów worków, co równa się niemal całkowitemu zbiorowi rocznemu wielkiej republiki amerykańskiej. Przytem zbiory są coraz większe, gdyż obecnie zaczynają owocować drzewka, sadzone przed 5 — 6 laty. Kierownik „Obrony" podał się w związku z tem do dymisji, jego zastępca zaś zabiega, dotychczas bezskutecznie, w Anglji o pożyczkę, którąby pozwoliła brazylijskim producentom przetrwać bez katastrofy ciężki okres niskich cen. Narazie jednak ceny kawy na giełdzie w Nowym Jorku spadły od października o przeszło ⅓ swej dawnej wartości.

NASZA ROZMOWA

P. Harry Kolbow z Klarysewa. Dziękujemy za zadania. Prosimy jednak o pisanie zadań w takiej formie, w jakiej mają iść do druku — osobno zadania, osobno rozwiązania.

P. Tadeusz Rogowski. Dziękujemy bardzo za miły list. Omówienie prac ukaże się w „Kolumnie Młodych Piór". Proszę się nie zrażać surowemi często ocenami — każdy piszący musi przez to przejść; nic tak nie marnuje talentu, jak bezkrytyczne pochwały. Rozumiemy dobrze zamiłowanie Pana do pióra, ale nie radzilibyśmy Panu pisać zadużo — trzeba mieć jaknajwięcej czasu na poznanie życia i, myśli ludzkiej. Uczyć się, brać udział w życiu społecznem, poznawać ludzi i ich pracę, czytać, aby poznać myśli wielkich — oto zadania na najbliższą przyszłość.

P. Tadeusz Rojewski z Tomaszowa. Sprawę prenumeraty załatwiliśmy. Bardzo chętnie zapoznamy się z nowelką Pana, jeżeli będzie dobra — wydrukujemy.

X. X. **w K.** Myli się Pan, uważając, że „Kolumna Młodych Piór" poświęcona jest wyłącznie utworom o charakterze literackim.

Będziemy tam umieszczać prace z różnych dziedzin, czego dowodem choćby numer dzisiejszy. Poruszenie tematów z życia szkolnego uważamy za bardzo pożądane — może Pan tę wymianę rozpocznie?

P. M. Wiśniewska. Dziękujemy Pani za miłą kartkę. Jeżeli chce Pani porozumieć się osobiście, to proszę przyjść w godzinach przyjęć do Redakcji. Może Pani być zupełnie spokojna, że wyrażone przez nią obawy są płonne. W treści pisma uzasadnienia tej obawy Pani nie znajdzie, a na złą wolę trudno znaleźć lekarstwo.

P. Z. Z. z Grodziska. Dziękujemy za obietnicę zjednania nam prenumeratorów. Łamigłówki nie umieścimy, gdyż jest zbyt łatwa na poziom młodzieży klas 7-mych i 8-mych, oczekujemy dalszej współpracy Pani w tym dziale.

P. W. D. Za list dziękujemy — słowa Pani zawsze chętnie przyjmiemy.

Redaktorzy.

HUMOR

(z książki p. t. „Zbiór rozmaitych zabaw w posiedzeniach" wydanej 1821 roku)

Jeden podróżny bardzo otyły, przed nocą chciał przybyć do miasta, i dla tego śpieszna iechał, żeby tam stanął, nim bramy pozamykaią. Gdy iuż był blisko miasta, spotkał chłopa ztamtąd iadącego, i spyteał go: Bracie czy przeiadę ia przez tę bramę? Na co mu chłop: Ach mój Panie! w tem mieście są bramy dość wielkie, fura z sianem przeiedzie, a W Mć Pan nie miałbyś przeiechać?

Jeden z Marszałków woyska Francuskiego złapał w swym obozie śpiega. Ów śpieg mocno się wymawiał, iż nie był śpiegiem, i prosił, aby mu życie darowano. Marszałek chcąc mu wszelką życia nadzieię odiąć rzekł: Słuchay bracie, darmo mi się naprzykrzasz, albo mnie, albo ciebie szubienica dziś nie minie. Śpieg przygotowawszy się na śmierć, gdy iuż był prowadzony na szubienicę, prosił, aby mógł ieszcze kilka słów powiedzieć, nim umrze. Marszałek o tem uwiadomiony spyta, coby chciał mówić? Na co mu śpieg tak rzecze: Pamiętasz WMc Pan coś powiedział, iż mnie, albo WMc Pana szubienica nie minie: chce się teraz dowiedzieć, ieśli WMc Pan do niey nie masz ochoty: bo ieśli WMc Pan nie zechcesz, to ia będę musiał póyśdź na szubienicę. Marszałek zaczął się śmiać z tey mowy, i darował życie śpiegowi.

Gdy w pewnem posiedzeniu mówiono o tych Filozofach dawnych, którzy trzymali przechodzenie dusz z iednych ciał do drugich, ieden młodzieniec chciał uczynić żart niewczesny, mówiąc, iż iego dusza była przedtem w złotym cielen. Na co mu iedna Dama rzekła: WMc Pan i teraz, nic w niey nie straciłeś, iak tylko pozłotę.

HUMOR DZISIEJSZY.

Anglicy bardzo nie lubią Amerykan i śmieją się z nich twierdząc, że wszyscy Amerykanie mówią przez nos.

Gdy więc chwalono w obecności pewnego Anglika, któregoś z wybitnych polityków amerykańskich, podnosząc jako wielką zasługę, że kłamstwo nigdy nie wyszło z jego ust.

— Rozumiem — odpowiedział Anglik — całe życie mówił przez nos.

Pewien dziennikarz francuski postanowił odwiedzić linję bojową swych sprzymierzeńców Anglików. Przybył więc do sztabu, a tam chętnie udzielono mu pozwolenia, dodając mu do towarzystwa jednego z najdzielniejszych oficerów.

Gdy doszli do okopów oficer szepnął do ucha dziennikarzowi.

— Uwaga, druga linja!

Po przejściu jeszcze paruset kroków, znów znaleźli się w okopach.

— Panie — szepcze oficer — teraz pierwsza linja!

— A nieprzyjaciel daleko, spytał cichutko przerażony dziennikarz?

— Półtora kilometra.

— Więc czegóż u licha pan szepcze — wrzasnął rozzłoszczony Francuz.

— Bo mam chrypkę.

Dwóch niezbyt odważnych panów wracając w nocy do domu spotyka na ulicy dwóch pijanych. Wtedy jeden z nich bardziej bojaźliwy zwraca się do drugiego.

— Słuchaj, ja myślę, że trzeba przejść na drugą stronę, bo ich jest przecież dwóch, a my jesteśmy tylko sami!

KOLUMNA MŁODYCH PIÓR

ŚWIERSZCZ

(z cyklu: ECHA WAKACYJ).

Gdzieś, w najciemniejszy kąt wtulony,
Ukryty w szary cień,
Lub złotym pyłem przypruszony
Świerszcz spędzał letni dzień...

A, gdy nadeszła noc tak cicha,
Że każdy serca słychać ruch,
Ze wspomnień czary, jak z kielicha,
Snuł swą balladę nocy Duch...

— — — — — — — — — — — — —

I, tak ukryty i nieznany,
Śpiewał on światu smutek... ból,
Za białym węglem gdzieś schowany
Snuł serenadę, mroku Król...

A, Gdy poranek przyszedł cichy,
I Bóg zwiastował bliski dzień,
Zamknąwszy uczuć swych kielichy,
Świerszcz się gdzieś chował... w szary cień...

Te-Jot.

KILKA SŁÓW PRAWDY

Umieszcamy artykuł p Leonardy Kamińskiej z Zagożdżona, choć może w krytyce autorki są pewne nieporozumienia. Nie będziemy jednak wypowiadali się teraz — może inni czytelnicy zabiorą głos w tak interesującej sprawie, jak ekspansja narodowa a humanitaryzm?.

W artykule p. t. „O pionierski typ Polaka", zamieszczonym w Nr. 2 „Sternika", spotykamy się ze słowami: „Wielcy poeci romantyczni marzyli w czasie długich, narodowych nocy, że przyszła Polska będzie Mesjaszem narodów, czemś tak wielkiem i wspaniałem, że cała ludzkość zegnie przed nią głowę. My, dzieci cudownie wskrzeszonej Ojczyzny, powinniśmy przypomnieć sobie „dawne serca bicie", przypomnieć sobie „dawną wielkość duszy". Nie wolno nam zasklepiać się we wałsnych granicach i zadowolnić się swobodnym, miałkim (?) postępem. Obowiązkiem naszym jest poszerzyć Polskę, uczynić z niej coś tak wielkiego i wspaniałego, żeby uklękła przed Nią zdumiona i oczarowana ludzkość".

Wszystko to bardzo pięknie, ale jakiemiż drogami każe nam iść autor po tę wielkość? Oto stawia nam za przykład pionierów angielskich i hiszpańskich, którzy, jak sam twierdzi „Szli po trupach słabszych. Nie poprzestawali na ścinaniu drzew odwiecznych, lecz i ludzi skracali o głowy. Całe narody padły ofiarą białych pionierów". Wspomina autor o Tasmańczykach, Delawarach, Tupinambasach, a zapomniał jeszcze o republikach dzielnych Burów, które padły ofiarą zachłanności Anglików. Za odpowiedź na zachwyty autora nad organizacją pracy w kolonjach może służyć umieszczony w tym samym numerze artykuł p. t. „Czy niewolnictwo jeszcze istnieje?". Więc ta Polska wyśniona, krwią męczeńską odkupiona, Polska - Mesjasz, miałaby wstępować w ślady ciemiężycieli słabszych braci?

Być może, że Polacy usłuchają głosów podobnych głosowi autora i na jakiś czas zdobędą wielkość taką, że ludzkość pochyli czoła. Ale nie można się łudzić. Ta wielkość nie będzie wielkością Mesjasza, ale wielkością wuja Sama. Zegnie kolano ludzkość nie przed naszemi prawami, nie przed wielkością naszej duchowej kultury, ale tylko przed trzosem wypchanym złotemi, jak dziś klęka przed trzosem z dolarami. A może autor tego właśnie chce? Lecz nie trzeba zapominać, że nie za taką Polskę ginęli nasi ojcowie na szubienicach, w śniegach Sybiru, w minach i na polu walki. Nie po to tyle pokoleń składało krwawą ofiarę na ołtarzu Ojczyzny, byśmy, dzieci ich i bracia utworzyli państwo na wzór ich ciemiężycieli.

Bądźmyż sprawiedliwi. Jeżeli Anglicy i Hiszpanie są usprawiedliwieni, tępiąc Tasmańczyków, Delawarów i innych to czemuż byśmy mieli nie przyznać racji Niemcom, Austrji i Rosji? Chciały nas wytępić, gdy znaleźliśmy się w położeniu słabszych, chciały zagarnąć naszą ziemię, bogacić się naszą krzywdą, bo chciały panować nad światem, bo chciały rozwoju wałsnych państw jakimkolwiek bądź kosztem. Jednak dzieje wskazują nam, jak nietrwała jest potęga podobnych państw. Panowanie ich nie jest stałe. Każde z nich „to się wzbija, to w głąb wali".

To co autor nazywa postępem, nie jest nim wcale. Jest to tylko wieczne kotłowanie i walka nienawidzących się wzajem tłumów. Miłość ojczyzny powinna być nie przekleństwem, lecz błogosławieństwem ludzkości. Narody stają do wyścigu pracy, i ten wyścig musi być szlachetny, nieskalany zbrodnią, ani podstępem.

A jeśli koniecznie ma być inaczej, to nie bawmy się przynajmniej w święte hasła, nie łudźmy naszej młodzi pięknemi frazesami, nie wzywajmy w codziennych modłach królestwa Bożego na ziemi, bo go wcale nie pragniemy. Tak źle jednak nie jest i być nie powinno. Ludzkość musi uchylić czoła przed Polską, przed istotną jej wartością, przed wydajnością naszej pracy, świętością naszych praw, wielkością sztuki i kultury naszej i przed czystością naszego ducha.

L. K.

ODPOWIEDZI

P. T. R., Milanówek.

Zabierając się do pisania „baśni", powinien Pan był obrać sobie jakiś ściśle określony rodzaj stylu. Może to być styl archaizowany (byle umiejętnie), może być styl ludowy — w każdym razie trzeba być konsekwentnym.

Tego Pan jeszcze nie potrafi. Przeplata Pan okresy „ludowe" pseudopoetycką prozą, lub, co gorsza, zwrotami najzupełniej nieodpowiedniemi.

Parę przykładów:

„...boginka nie boginka, czarodziejka nie czarodziejka, raczej fantazja ludu...".

Skoro się już tę boginkę poetycznie personifikuje, nie można wprowadzać pozytywnych określeń. To razi.

„...szła lekko, jednostrajnie..." (?)

„...Wierzby brzegowe (!), w pół zgięte, spuszczały listowia..." To zdanie zupełnie się Panu nie udało.

„...Miał na sobie spodnie potargane i jedynie (!) marynarkę..."

Ten, bardzo zresztą nieszczęsny zwrot, razi swoją dziennikarską powszedniością. Przecież to miała być baśń!

„...Malowała się w ich oczach zaciętość, złość, czasami nawet podłość, szał!".

Oj, wydaje nam się, że Pan trochę przesadził, pisząc o wyrazie oczu biednych, zmordowałych „kamieniotłuków" (?).

Takich przykładów moglibyśmy podać więcej. Porywa się Pan np. na tworzenie neologizmów. To niebezpieczna sprawa. Używa Pan nieprawidłowo czasowników („...rozszumiała lasy okoliczne, rozśpiewała ptaki...")

Wszystko to są błędy wynikające z Pańskiej manjery. Pocóż pisać „baśnie-nie-baśnie", którym brak nawet pewnego ustalonego założenia. Niech Pan spróbuje pisać prościej i o prostszych rzeczach.

P. S. Zwracamy się teraz do Pana z pytaniem bardziej osobistej natury. Czemu używa Pan herbu jako dodatku do nazwiska? Czy uważa Pan, że to lepiej brzmi? Czy może chce się Pan odróżnić od bliźnich? Niedawno pisma doniosły o katastrofie w kopalni „Juljusz" pod Sosnowcem. Między zasypanymi, znajdował się górnik tego samego nazwiska, co Pan. Nie wiemy nawet, czy go uratowano.

Czy uważa Pan, że herb Pański (mimo 96-go Art. Konstytucji) czyni Pana lepszym od tego czarnego bohatera, który już może nie żyje?...

P. Z. Wicherek, Bydgoszcz.

To, co Pan napisał o Bydgoszczy, możnaby powiedzieć o każdem mieście. W „migawce" Pańskiej niema nic nowego, nic, coby naprawdę scharakteryzowało prawdziwe oblicze Bydgoszczy. Wszędzie są tramwaje i wszędzie „migają światła". To nam jeszcze nic nie mówi.

Proszę się zastanowić nad zwrotami:

„...Teatr wznosi swe mury... głosząc(?) naukę, literaturę i sztukę".

„...Tramwaje... swem dzwonieniem nadają miastu ogromność...".

Może następnym razem lepiej się Panu powiedzie?

P. P. T. K., Kalisz.

Trudno nam coś, konkretnego o Pańskich wierszach powiedzieć, tak bardzo są nierówne. Obok wcale niezłych strof znaleźć można całe zdania naszpikowane błędami, niezdarnemi neologizmami i pozbawione wdzięku.

Jak mógł pan np. napisać:

„Szept jak głaźny zwał spadł w duszę...““

Forma, ballady ma to do siebie, że musi być jaknajbardziej rytmiczna. Zapożycza pan od Mickiewicza zwrotów ludowych, a nawet rymów, a nie wziął pan od Niego, niestety! tej „muzyczności“, która jest w jego balladach.

Ni stąd ni zowąd zmienia pan teren akcji: tam, gdzie stał chram Swarożyca nie było dziewic imieniem Lellila (?).

Niech pan unika tych zużytych terminów w rodzaju: chram, mocarny, tęsknica, wierzeje i. t. d.

Słowa te dziś już nic nam nie mówią.

„Stance radjowe“ — trochę lepsze, ale i tu dał się pan ponieść niepotrzebnym słowom (tęskliwa pieśń, złotopióry księżyc).

Dobre, jako pomysł onomatopeiczny, jest zdanie niemieckie, napisane zresztą bardzo niegramatycznie.

Niech pan spróbuje pisać o bardziej zwykłych rzeczach.

P. Te-jot, Żyrardów.

Wiersz, dużo lepszy od poprzedniej próby. Drukujemy go w numerze bieżącym. Niech pan zobaczy, jak wygląda „Świerszcz“ odlany z ołowiu. Może łatwiej panu będzie dostrzec usterki, których trzeba na przyszłość unikać.

Za wyrazy przyjaźni i niezupelnie zasłużonego uznania — dziękujemy.

Proszę nie zapominać o „Sterniku“ i „Kolumnie Młodych Piór“.

P. Leszek Rybicki, Warszawa.

Z dwu nadesłanych wieryszy, wydrukujemy drugi — „Happy end“. Być może, że i „Trzy Sosny“ zamieścimy w „Kolumnie Młodych Piór“.

p. Adam Lwicz, Włocławek.

Wiersz pański, bardzo piękny w intencji, ma typowe błędy wszystkich młodzieńczych wierszy o zbyt pięknych intencjach.

W tego rodzaju programowych wierszach pewne słowa (Czyn, Prawda, Znicze Miłości) powtarzają się tak często, że dawno już straciły swoją pierwotną wartość. Przyczynia się pan tem samem do zubożenia języka.

Unikajmy banalnych tematów i wyjałowionych zwrotów (rdza czasu, zorza lepszych czasów i t. d.)!

Może istotnie wtedy nastaną czasy lepsze dla „Kolumny Młodych Piór“?...

p. Tadeusz Rojewski, Tomaszów Maz.

Cieszymy się, że pan napisał wiersz o szkole. Wszystko to jest prawda, ale prawda bardzo nieudolnie powiedziana Trzynastozgłoskowiec jest formą bardzo wygodną — można w nim wiele zmieścić. Nie umiał pan tego wyzyskać; pisze pan rozwlekle, wstawia pan niepotrzebne słowa. Aby było do rymu!

Niech się pan przekona jak dobrze opisywał szkolne życie (z przed kilkudziesięciu lat!) — zapomniany poeta Władysław Syrokomla.

Dział rozrywek umysłowych

ZADANIA PLEBISCYTOWE

ODMIANA LOGOGRYFU.

Ułożył Adam Lwicz.

M	O	S	T
R	A	D	A
K	R	E	S
E	L	E	W
S	T	E	P
L	I	D	O
L	I	S	T
A	L	B	O
I	R	A	N
A	R	A	K

Przez zmianę pierwszych i ostatnich liter każdego wyrazu powstanie 10 nowych słów, o znaczeniu następującem: 1) nazwisko wynalazcy nowego abecadła chińskiego (w r. 1880), 2) miasto w Afryce, 3) kraj umarłych w starożytnym Rzymie, 4) wyspa na Adrjatyku, 5) produkt smoły pogazowej, 6) dopływ Wisły, 7) dopływ Dunaju, 8) wyspa na morzu Śródziemnem, 9) miasto w Rumunji. 10) planeta.

Początkowe litery każdego nowopowstałego wyrazu dadzą rozwiązanie.

KONKURS WSZECHSTRONNOŚCI

(patrz w Nr. 2 z 1929 r.)

IV CYKL FIZYKO-CHEMICZNY

1) Polska importuje żelazokrzem z zagranicy w związku z tem nasuwają się pytania:

Co to jest żelazokrzem?

Do czego służy?

W jakiem opakowaniu należy go transportować w większych ilościach i dlaczego?

2) Ile energji rozprasza się, gdy powietrze atmosferyczne wciśnie się do naczynia o pojemności 20 litrów, w którem była zupełna próżnia?

3) Jaka jest różnica pomiędzy długością fali i jej częstością i dlaczego obecnie coraz częściej wchodzi w użycie określenie danej radjostacji w kilo-cyklach?

Termin nadsyłania odpowiedzi na zamieszczone w numerze rozrywki upływa 15 lutego.

ROZSTRZYGNIĘCIE KONKURSU POD NAGŁÓWKIEM: „KTO NAJPRĘDZEJ PRZYŚLE ODPOWIEDŹ“.

(z dn. 15 listopada 1929):

Autorami najprędzej otrzymanych odpowiedzi z poza Warszawy są: 1) p. Tadeusz Rojewski, kl. VII, Tomaszów Mazowiecki, 2) p. Leonarda Kamińska, Zagożdżon, 3) p. Kazimierz Borkowski, kurs IV Sem. naucz., Leśna Podlaska; 4) p. Włodzimierz Pietrzak, klasa VII-b, Kalisz; 5) p. Stefan Kolano, kurs V, Sem. Naucz., Szczebrzeszyn; 6) p. T. Liszkiewicz, Sem. Naucz., Włocławek; 7) p. T. Chylak, Sem. Naucz., Mogielnica; 8) p. Franciszek Ciźla, kl. VIII, Kozienice, 9) p. Roland Kiewlicz, kl. VII, Święciany — otrzymują w nagrodę prenumeratę „Sternika“.

Jedynej na czas otrzymanej odpowiedzi z Warszawy autorką jest p. W. D. VIII kl. gimn. p. W. Posselt-Szachtmajerowej — otrzymuje w nagrodę kwartalną prenumeratę „Sternika“.

Najwięcej odpowiedzi nadesłała klasa VII. Państw. gimn. im. Król. Jadwigi w Pabjanicach — otrzymuje reprodukcję Noakowskiego.

„STERNIK“ WYCHODZI 10-go I 25-go KAŻDEGO MIESIĄCA.

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Al. Ujazdowskie 37 m. 23, Tel. 445-16, Konto P. K. O. 21355. Redaktorzy przyjmują interesantów we wtorki i piątki od 5—6 popołudniu. Administracja czynna od 9 rano do 3 pp.

Cena prenumeraty: w Warszawie (z odniesieniem do domu) i na prowincji (z przesyłką pocztową) miesięcznie 1 złoty, — kwartalnie 3 złote, półrocznie 5 zł. 50 gr., rocznie 10 złotych. Zagranicą o 25 groszy miesięcznie drożej.

Ceny Ogłoszeń: Jednorazowo, 1/1 kol. — 200 zł. 1/2 kolumny — 100 zł., 1/4 kol. — 60 zł., 1/8 kol. — 35 zł. 1/16 kol. — 20 zł. Przy ogłoszeniach wielokrotnych ceny niższe.

Redaktorzy: W. Prażmowska i Z. Zieleniewski. **Redaktor odpowiedzialny i wydawca: Z. Zieleniewski.**

Warszawskie Zjednoczone Zakłady Graficzne „SPÓŁDRUK“, Warszawa, ul. Długa Nr. 26. Telefon Nr. 260-19.